PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 17 SIERPNIA 1935 R. * NUMER 33 (98)

TREŚĆ:

NIEMA PRZEPEŁNIENIA W UNIWERSYTETACH

Koniec roku szkolnego jest zazwyczaj początkiem dyskusji na temat najbliższej przyszłości młodzieży, to znaczy — jej dalszych studjów. „Dlaczego koniecznie uniwersytet?“, „Do studjów handlowych!“, „Widmo nowej nadprodukcji inteligentów dyplomowanych“ — oto mniejwięcej tytuły artykułów, zwracających się do młodzieży, zaopatrzonej na dalszą drogę życiową w świadectwa dojrzałości. Artykuły te pełne są troski o materjalną przyszłość nowych zastępów akademickich, troski usprawiedliwionej z dwóch przynajmniej powodów: po pierwsze niewiele się zmieniła sytuacja, w której młodzież z ukończonemi studjami prawniczemi i nauczycielskiemi mogłaby liczyć na spożytkowanie uzyskanych przez studja kwalifikacyj; po drugie, nawet otrzymując zatrudnienie, odpowiadające kwalifikacjom, otrzymuje je młodzież bez dostatecznego ekwiwalentu materjalnego, bez szczególniejszych widoków na trwałość zajęcia i poprawę zarobków.

W roku bieżącym naturalna agitacja za ograniczeniem pędu do uniwersytetów i szkół technicznych zbiegła się z powołaniem do życia nowego typu szkół, mianowicie gimnazjów zawodowych, co oczywiście wytworzyło nastrój swojego rodzaju „pozytywizmu“ w traktowaniu ważnego zagadnienia społecznego. W ten sposób linja wytyczna dyskusji lub może ewentualnej dopiero dyskusji (bo mimo wszystko za dużo się o tem mówi) wygląda dość wyraźnie: uniwersytety są przepełnione, posad dla absolwentów tych uczelni niema, kraj potrzebuje pracowników w dziedzinach praktycznych, a więc w przemyśle, handlu, w rzemiośle. Młodzież wykaże zdrowe poczucie rzeczywistości i zdrowy pogląd na życie, jeżeli pójdzie za głosem ludzi starszych i doświadczonych i nie skorzysta z przysługujących jej na mocy matury uprawnień. Ale młodzież może, swoim odwiecznym i przekornym zwyczajem, mieć w tej sprawie swoje własne zdanie i, z całym szacunkiem dla siwych i łysych głów, zakwestjonować słuszność powyższego rozumowania a nawet pieczołowitą troskę wujaszków i ciotek społecznych o dobro akademickiego pokolenia.

Argumentów znajduje potemu niemało. Pierwszy z nich, pozornie tylko retoryczny, brzmi: pocoście nas posyłali do szkół średnich, a posławszy tam, walczycie coraz skuteczniej o usunięcie egzaminów dojrzałości, co jest przecież równoznaczne z usunięciem ostatniej tamy, hamującej nadmiar kandydatów do wyższych uczelni? Zamiast zaś gromadzić dalsze argumenty, odeślą młodzi nas starszych do świeżo wydanego *Małego rocznika statystycznego*, gdzie w rozdziale 17-ym p. t. „Szkolnictwo i wychowanie“ znajdziemy poddostatkiem materjału do rozmyślań. Czego więc można się stamtąd dowiedzieć?

Przedewszystkiem tego, że młodzieży bynajmniej nie przybywa na wyższych uczelniach, jest raczej odwrotnie. W 1932—1933 r. było jej 51,600, a w roku następnym — 49.500. Świadczyć to może oczywiście o skuteczności dobrych rad, dawanych w latach ubiegłych, ale świadczy prawdopodobnie i o tem, że warunki kontynuowania wyższych studjów są coraz trudniejsze. Pozornie wszystko jest w porządku, bo takiemi czy innemi środkami cel jest osiągany, wyższym zakładom naukowym nie zagraża przeludnienie. Jeżeli jednak uwzględnimy, że naogół dopiero wyższe studja są miarą przyrostu t. zw. wyższej inteligencji, oraz uprzytomnimy sobie, że ludność Polski wynosiła w 1931 r. 32 milj. 133 tysiące, otrzymamy mało pocieszającą proporcję: im większy wzrost ludności, tem mniejszy wzrost inteligencji i tem wyraźniejsze cofanie się do pierwotności. Otóż można się nie przejmować takiemi zjawiskami, jak wzrost chałupnictwa kosztem warsztatów rzemieślniczych, zwiększanie się ilości dorożek, bryczek i wózków kosztem nieistniejącej zresztą motoryzacji, ale niepodobna spokojnie myśleć, że kurczy się dopływ świeżych sił wyrobionej kulturalnie inteligencji. Należy tu odrazu zrobić zastrzeżenie, że nie chodzi bynajmniej o posady dla inteligencji, bo to jest zupełnie inna sprawa, ale chodzi o taki przyrost pewnej warstwy, który powinien być przyrostem naturalnym, jak naturalny jest przyrost chłopstwa niezależnie od tego, czy może się ono pomieścić na wsi, czy nie. Uprościmy sobie też myślenie o tej sprawie, gdy sobie powiemy, że niema co rozczulać się nad niedolą inteligencji, bo pod tym względem nie jest ona odosobniona, cierpią wszystkie warstwy, a im niższe, tem więcej cierpią.

Wśród różnych tablic statystycznych znajduje się i taka, która grupuje procentowo studentów według rodzaju studjów i równocześnie według wyznania religijnego. Czytamy tam np. w rubryce „nauki handlowe“: rzymsko-katolicy w r. 1933/34 — 83,2 proc., wyzn. mojżeszowego — 7,0 proc. Tymczasem w r. 1928/29 cyfry te wynosiły: 78,2 i 15,4. Znaczy to, że Polacy nareszcie wzięli się do handlu i wypierają Żydów, młodzież polska posłuchała wołania starszych, świtają pierwsze jaskółki „pozytywizmu“ i rozsądnego doboru studjów. Pewnie że coś takiego musi się mieścić w cyfrach, wyrażających utratę żydowskiego „stanu posiadania“ aż o 50 zgórą proc. Kto jednak zaręczy, czy Żydzi nie wycofali się sami z tego interesu „na całe 50 procent“, orjentując się dobrze w konjunkturze handlowej, wiedząc, że nawet dla nich nie przedstawia ona szczególniejszych widoków w okresie nieustającego kryzysu. Natomiast nie zrezygnowali z innych kierunków studjów, utrzymując się mniejwięcej przy tych samych procentach. Z czego wynika, pośrednio przynajmniej, że zwrócenie się młodzieży do studjów czysto praktycznych także nie rozwiąże trudności konjunkturalnych i nie zapewni jej bezpiecznej przyszłości.

Jeszcze inna tablica statystyczna poucza: w r. 1931/32 otrzymało dyplomy po 3—4 latach studjów — 20% słuchaczy, a po 9 i więcej latach — 19,5%; w roku następnym proporcje te wyrażają się: 19,5 i 21,3. Czyli że młodzieży coraz trudniej jest kończyć studja, niewątpliwie z powodu trudności materjalnych i zapewne pod wpływem czynników psychicznych, ale bodaj i dlatego, że niema się poco i do czego spieszyć. Gdyby ci studenci, w tak dużym procencie reprezentujący nieśmiertelny typ „żelaznych akademików“, zajęli się „uczciwą“ pracą, zaraz po maturze poszli do zajęć zawodowych, do handlu, przemysłu, rękodzieła itd., to wówczas — otóż to, że nic wówczas, bo tam ich także w dzisiejszej konjunkturze nie potrzeba, tam zawsze powitają ich szeregi bezrobotnych.

Zajrzyjmy wreszcie do jeszcze jednej tablicy, noszącej tytuł: „Uczniowie według zawodu rodziców w Polsce“. Niestety tej wyjątkowo ważnej tablicy redakcja *Rocznika* nie odświeżyła. W rubryce „rolnicy mniejsi“ (poniżej 50 ha gruntu) ludzi nas cyfra z lat szczęśliwych, 1928/29: w szkołach wyższych 3100 uczniów. Dzieci robotniczych w tym samym czasie — 400. Jak to może wyglądać dziś, w szóstym roku kryzysu i bezrobocia w mieście i na wsi? Zwolennicy ograniczenia dopływu młodzieży do wyższych zakładów naukowych mają znowu podstawy do zadowolenia, ale doprawdy niema się z czego cieszyć. Nie mówiąc już o tem, że nieobecność dzieci chłopskich i robotniczych na uniwersytetach jest jawną niesprawiedliwością społeczną, należy zastanowić się, czy stan ten nie grozi niebezpieczeństwem samej inteligencji.

Wiemy, że są w Polsce wyznawcy zasady płodzenia inteligencji tylko przez inteligencję, zapominają oni jednak, że nawet arystokracje rodowe zrewidowały taki pogląd i dla ocalenia swojej „rasy“ zdecydowały się na liczne transfuzje krwi a wraz z nią nowych sił witalnych. Zgóra 60% chłopstwa w Polsce wcześniej czy później wywalczy sobie należny udział w procesie kształtowania kultury i zacznie uczestniczyć we wszystkiem, co oddziaływa na rozwój cywilizacyjny narodu. Oczywiście i dzisiaj nikt mu tego nie zabrania, nikt nie stwarza sztucznych przeszkód dla młodzieży chłopskiego pochodzenia. Przeszkody pochodzą z kryzysu i w równym stopniu dotyczą młodzieży miejskiej. Chodzi jednak o to, by się nie łudzić, że jest to sytuacja normalna, wyobrażając sobie, że wyższa inteligencja polska, pozbawiona reprezentacji zpośród warstw chłopskich i robotniczych, potrafi spełnić swoje zadania życiowe. Nie potrafi, bo w kraju o charakterze wybitnie rolniczym żywioły miejskie mogą przebudować cały ustrój polityczno-państwowy, polegający przedewszystkiem na właściwej organizacji, nie będą jednak w stanie wytworzyć prawdziwego typu inteligencji, zdolnej do odpowiedzialności za całokształt kultury i jej przyszły rozwój.

Aktualne jest przecież pytanie: jak zapewnić byt materjalny młodzieży, kończącej wyższe studja naukowe, zawsze zbyt licznej nawet wówczas, gdy statystyka wykazuje zmniejszanie się jej w uniwersytetach? W tej chwili, jak wiemy, trudno jest zapewnić ten byt i tej młodzieży, która w poszukiwaniu chleba dobrowolnie rezygnuje z wyższych studjów, zadowala się średniem wykształceniem, uczy się w szkołach zawodowych. Jest nawet znacznie gorzej, bo społeczeństwo nie może zapewnić młodzieży uniwersyteckiej dobrych warunków na czas samych studjów, co tam więc myśleć o posadach po uzyskaniu dyplomów. Ani więc ograniczanie młodzieży do niższych studjów, ani kierowanie jej do szkół wyłącznie zawodowych, ani wreszcie powstrzymywanie jej od studjów wyższych nie rozwiązuje tragicznego konfliktu między aspiracjami i prawami młodzieży a współczesną rzeczywistością społeczno-gospodarczą. To, co narazie jest do zrobienia, poza doraźną pomocą, dałoby się sformułować następująco:

Propaganda nie potrzebuje iść w kierunku zniechęcania młodzieży do studjów wyższych, ale powinna jaknajenergiczniej i najskuteczniej szerzyć pogląd, że uniwersytety nie są od zapewniania lepszych posad i zarobków, niż je może dać każdy zawód, nie wymagający wielkich dyplomów, wręcz przeciwnie, zapewniają posady gorsze i zarobki mniejsze niż wiele dziedzin pracy. Z tego jednak nie wynika, żeby się wyrzekać wykształcenia i rezygnować z wyższych studjów, do których każdy młody po ukończeniu odpowiednich szkół średnich ma pełne prawo. Natomiast musi młodzież odrazu liczyć się z tem, że zdobyta przez nią wiedza jest jej potrzebna w każdym zawodzie. Doktorat praw uprawnia nietylko do otwarcia kancelarji adwokackiej i objęcia dobrze płatnego stanowiska syndyka lub gorzej płatnej posady sędziego (w dodatku po przeterminowaniu różnych referendarstw), ale doskonale pomaga w najmniejszem nawet przedsiębiorstwie handlowem, przemysłowem i rękodzielniczem. Wójt na wsi, posiadając obok wyższych studjów jeszcze entuzjazm do spożytkowania ich dla dobra gminy, to gwarancja odrodzenia wsi, jej przebudowy i wyzwolenia z dotychczasowej odwiecznej nędzy. Pozornie wygląda to bardzo teoretycznie, Ukraińcy jednak, którzy pokończyli uniwersytety polskie lub obce i poszli na wieś robić kooperatywy, przemienili tę teoretyczność na siłę, z którą się dzisiaj musimy liczyć.

Uniwersytety nie mogą nadal uchodzić za fabryki kandydatów na „lepsze“ posady, ich zadanie polegało przecież zawsze na szerzeniu wiedzy, a już rzeczą studentów jest wyciągnąć z tej wiedzy odpowiednie pożytki. Uniwersytety, dając wyższe wykształcenie, zwiększają nie proletarjat inteligencki, jak się zwykło mówić nie bez przyprawy demagogicznej, ale warstwę społeczną, która decyduje o przyszłości kultury narodowej, wypracowuje ją, nadaje jej naturalny kształt i przyczynia się do zniwelowania różnic i rozbieżności naturalnych w społeczeństwie, złożonem z licznych grup.

Agitacja za obsadzaniem przez młodzież uniwersytecką wszelkich nadarzających się placówek, choć i nieproporcjonalnych do wyższych dyplomów, może jeszcze znakomicie wpłynąć na wykorzenienie pokaźnych resztek swoistego arystokratyzmu polskiego, polegającego na utyskiwaniu na krzywdzące rzekomo stosowanie zasady „właściwy człowiek na właściwem miejscu“. Jest to bowiem zjawisko dość jeszcze powszechne, że porządny malarz pokojowy uważa się za zmarnowany talent artystyczny. A wogóle przeciętny Polak bywa w swojem wyobrażeniu powołany do wyższych zadań niż te, które mu dano spełniać. Ale i ten rodak, który jest zadowolony ze swego zawodu, nie zazna spokoju: nauczyciel gimnazjalny, zajęty dodatkowo pracą naukową, będzie uchodził w oczach swojej żony, teściowej i oddanych przyjaciół za marnującego się uczonego, który powinien być dawno profesorem uniwersytetu. Dziennikarz, uprawiający z zamiłowaniem swoją grzędę publicystyczną, nie powinien pisać w sposób zdradzający jego umiłowania literackie i jakieś w tym kierunku zdolności, nieustannie bowiem będą go gnębić najżyczliwsi ludzie: jaka szkoda, że pan nie pisze powieści lub wogóle „większej rzeczy“. W takich opinjach i zapytaniach jest tyle szczerego uznania, ile litosnego kiwania głową nad człowiekiem, który się sam degraduje do niższych posług społecznych. Ten to arystokratyzm warto przy każdej okazji tępić i właściwa propaganda wartości studjów wyższych dla młodzieży nastręcza potemu dobrą okazję.

STANISŁAW ROGOZ

CZŁOWIEK

Nocą klękasz i znaleźć chcesz Boga —
potem w oczach strach nosisz i łzy —
na dalekich, nieznanych ci drogach
ktoś się zgubił i płacze, jak ty.

Pachnie ze wsi kwitnącym jaśminem —
złote zboże wśród pola się śni —
kto cię zbudził? kim jesteś? gdzie płyniesz
w nieskończoność wieczorów i dni?

Nikt nie szuka cię dłońmi dobremi —
nikt nie mówi czy dobrze, czy źle —
tylko ziemia z grobami staremi
o twej ciszy słyszała i wie.

JAN TWARDOWSKI

ROLA SNOBIZMU W PRZEŻYCIU ARTYSTYCZNEM

I

We wszystkich typach sztuki, począwszy od skrajnej lewicy, a skończywszy na pospolitym naturalizmie, możemy obserwować wyraźną tendencję do poszukiwania kryterjów objektywnych, do uczynienia z sztuki rzemiosła, którego wartość polega jedynie na sumiennem wykonaniu i na popisie technicznym, opartym na prawdziwej fachowości. Tendencja ta jest sprzeczna z istotą sztuki, która staje się przykrym balastem, z chwilą kiedy przestaje budzić entuzjazm i upojenie. W tych warunkach nie można się dziwić, że sztuka schodzi w życiu społecznem na plan trzeciorzędny. Nie jest prawdą, że przyczyną tego są bez porównania ważniejsze sprawy polityczne i ekonomiczne. Na to, żeby słuchać radja, uczęszczać do kina i czytać nowelki w prasie bieżącej, wszyscy mamy czas. Ale nikt nie chce chodzić do teatru, na wystawy obrazów, ani na koncerty, a jeśli to czyni, to doznaje za każdym razem przykrego zawodu i popada w nudę śmiertelną. Zjawisko to jest tak fascynujące, że warto nad niem zastanowić się głębiej. Wydaje mi się, że źródłem jego jest zanik t. z. arystokracji ducha, która w okresie przedwojennym umiała stworzyć atmosferę sprzyjającą działaniu sztuki. Stwierdzając ten fakt, nie chcę bynajmniej powiedzieć, że trzeba martwić się z tego powodu. Postaram się wykazać, że przedwojenna arystokracja ducha musiała zginąć wraz z przesądami rodowemi, któremi była przepojona.

Żyjemy w okresie potężnego rozwoju potomków chłopów pańszczyźnianych, których określamy niesłusznie nazwą s z a r e g o c z ł o w i e k a. Ten rzekomo szary człowiek jest bez porównania barwniejszy i bujniejszy od przedwojennych arystokratów ducha, nie mówiąc już o tem, co dzisiaj nazywa się elitą intelektualną. Elita intelektualna naszych czasów nudzi się na śmierć i wie o tem doskonale, że jest nudna. Życie t. z. pań z towarzystwa jest bez porównania nudniejsze od życia ich pokojówek, a życie artystów i literatów jest kleistą mazią w porównaniu z wartkim potokiem wrażeń przeciętnego robotnika. Przecież narażać na każdym kroku życie, walczyć z głodem, z niebezpieczeństwem bycia wyrzuconym za chwilę na bruk, nie krępować się konwenansem seksualnym i patrzeć na wystawy sklepów z wiktuałami, nie mając grosza w kieszeni, — to nie szarość, to bujność niebywała w porównaniu z codziennie pełnym żołądkiem, z szachami lub bridżem, z plotkami *Lady Chatterley* i z *Madone de Sleeping*.

Z grona tych bujnych ludzi, niesłusznie nazwanych szarymi, przypływa coraz to liczniejsza falanga niesamowicie zdolnych i pełnych olbrzymiej energji intelektualistów. Ludzie ci marnieją w zetknięciu się z rozkładem przedwojennej tradycji, dokonującym się zwolna w organizmie elity intelektualnej. Nie mają na tyle wiary w siebie, nie są na tyle odważni, żeby uznać siebie samych za elitę, żeby te barbarzyńskie kryterja sztuki, które sięgają w gruncie rzeczy najwznioślejszych jej wyżyn, narzucić społeczeństwu jako kanon chwili obecnej.

Przejmują się tem, czego ich uczą sceptyczni i rozbici wewnętrznie profesorowie, i ostatecznie nie pozostaje im nic innego jak odwoływać się do tego, co jest im dobrze znane z tradycji rodzinnej, do upartej cierpliwości i do małpiej zręczności.

Ale są i inni. Są tacy, którzy wierzą w siebie i chcą wytyczać nowe drogi i chcą wytworzyć nową, prawdziwą arystokrację ducha. Tym trzeba koniecznie dodać odwagi, bo oni tylko mogą sprawić, że sztuka z przedpokoju życia współczesnego przeniesie się do ubikacyj frontowych.

Myślę, że natura pierwotna i bujna posiada w sobie najistotniejsze cechy arystokracji ducha. Grozi jej jednak niebezpieczeństwo następujące. Ewers pisze, że w świątyni murzyńskiej, wśród tajemniczych fetyszów, w atmosferze niebezpiecznych zabobonów na honorowem miejscu wisi ogłoszenie na Cacao Van Houtena. Innemi słowami istnieje niebezpieczeństwo snobizmu. Jedno z najgroźniejszych i najbardziej zamaskowanych niebezpieczeństw. Walka o wielką sztukę jest identyczna niemal z walką z tem niebezpieczeństwem. Jednym z najważniejszych środków tej walki jest krytyka błędów przedwojennej arystokracji ducha i tych zabagnień, które pozostawiła nam po sobie w spadku. Materjał jest olbrzymi. Domaga się wielkiego zbiorowego wysiłku. Wystarczy jednak mieć odwagę przyznać się do własnych błędów i zakłamań. Reszta jest już bez porównania łatwiejsza.

II

Wspomniałem wyżej, że głównem źródłem klęski przedwojennej arystokracji ducha były jej przesądy rodowe. Przesądy te zrodziły się wraz z nią samą w okresie romantyzmu. Romantyzm był reakcją przeciw nowożytności i powrotem do średniowiecza. Można się o taką jego interpretację gniewać, ale nie można się z nią załatwić. Idealizowanie obłędu feudalnych panów, branie na serjo kronik, pisanych przez pochlebców, i indentyfikowanie wizyjnej średniowiecznej sztuki z życiem. Tęsknota za życiem mrocznych zamków magnackich. Tęsknota za demonicznymi margrabiami i przerafinowanemi księżniczkami, takiemi właśnie, jakie można widzieć na Arrasie wawelskim. Potrzeba odszukania tych rzeczy i wmawiania w siebie, że są, że może były jeszcze wczoraj. Ta donkiszocka myśl ciągnie się aż do samej wojny (Barbey d'Aurevilly, Nietzsche, Żeromski). Jeszcze po wojnie odnajdujemy ją w tej literaturze niemieckiej, która przygotowała hitleryzm.

W przedwojennej Polsce obowiązywała zasada, że wielka tradycja rodzinna jest nieodzownym warunkiem prawdziwej wzniosłości. Bezmała sądziło się, że Chopina rozumieć mogą jedynie damy z prawdziwego towarzystwa. Mieszczaństwu i proletarjatowi dostępny był tylko poziom średni. Wszystko tylko nie wzniosłość. To samo odnosiło się do Żydów. Ostateczna tajemnica istnienia i związane z nią objektywne kryterja dobra i piękna były udziałem jedynie duchów wybranych. (W Niemczech głosił takie zasady radca saskiego ministerstwa Dr. Eichler jeszcze w r. 1924). Najwięksi genjusze powinni pojawiać się wśród arystokracji rodowej (Platon, Dante, Michał Anioł, Byron, Krasiński).

W wyjątkowych wypadkach dopuszczano do najwznioślejszych wyżyn burżuazję zagraniczną. W Polsce obowiązywała bezwarunkowo przynależność do stanu szlacheckiego. Ludzie o nazwiskach takich jak Korzeń, Wrona, Kurczątko i t. p., choćby nawet nazwiska te brzmiały po francusku, nie mogli być żadną miarą genjuszami. Kiedy zaś złożyło się tak, że najwyższą miarę genjuszu trzeba było koniecznie przyznać Trzęsigruszce, to wtedy naprzód pokazało się, że to wcale nie Trzęsigruszka tylko Trzęsiwłócznia, co bądź co bądź brzmi po rycersku, a w końcu zostało ustalone z wielką ścisłością, że Trzęsigruszka nie istniał wcale, a wielkie jego dramaty pisał prawdopodobnie Lord Bacon z Verulamu.

Z nauką trudniej dać sobie było radę. Nie było sposobu załatwienia się z Kopernikiem ani z Newtonem ani z Faradayem, który jak wiadomo zaczął od czyszczenia flaszek w laboratorjum. Sprawy te pozostawiono na boku, ale i tak trudności mnożyły się na każdym kroku. Nie wiadomo co było zrobić z Mozartem, poddanym arcybiskupa Salzburskiego, który, jak śmią twierdzić historycy, nie szczędził mu kopniaków. Także z Chopinem był niemały kłopot, bo był przecież Polakiem, ale żadną miarą nie można było uważać go za szlachcica. W tych warunkach nie pozostało nic innego jak odróżnić twórczość artystyczną od wyżyn przeżywania.

Twórczość zarezerwowano dla jednostek wyjątkowych, których żadną miarą nie da się ująć w formułę. Wiadomo tylko było, że jednostki takie mogą rozwinąć się jedynie w środowiskach bardzo kulturalnych, opartych na starej, wysokiej tradycji. Pod wpływem Hipolita Taine'a zasada środowiska stała się dogmatem obowiązującym powszechnie. Dogmat ten zapewniał arystokracji ducha rolę kulturalną niezmiernej wagi. W rezultacie doszło do tego, że silna arystokracja ducha uważana była za warunek konieczny rozwoju wyżyn kulturalnych, a społeczeństwa takie jak nasze, których nie było stać na taką arystokrację, zostały skazane na rolę drugorzędną.

Przed wojną nie wymagano od arystokracji ducha wysokiej wiedzy fachowej. Szło jedynie o najwyższą klasę odczuwania i zdolność uczynienia z samego siebie jednostki wytwornej i fascynującej. Takim jednostkom przyznawano prawo wytyczania drogi na wyżyny życia i sztuki i prawo kreowania genjuszów. Za pierwowzór arystokraty ducha można uważać Platona. Wiadomo, że Platon nie osiągnął pozytywnych wyników ani w dramacie, ani w matematyce, do której przywiązywał wagę ogromną. Ale nikomu nie przyszło na myśl obniżać go z tego powodu, bo nie wyniki konkretne były jego celem. Jeśli wierzyć mamy Goethemu, Platon zapuszczał się w głębiny nie poto, żeby je zbadać, ale raczej w tym celu, żeby wypełnić je swoją istotą. Wielkość Platona polegać miała nie na wynikach jego pracy, ale na tem, co było w nim samym. Ta właśnie cecha stała się z czasem przywilejem podstawowym arystokracji ducha. Platon był dumny z tego, że jest mężczyzną, że jest ateńczykiem i że jest potomkiem rodu królewskiego. Ten właśnie gatunek dumy powstał u jego następców, przyjmując jedynie formy bardziej skomplikowane. Platon wysuwał na pierwszy plan ideał etyczny. Ideał ten pozostał na dnie pojęcia arystokraty ducha, z tą tylko odmianą, że przybrał postać perwersyjną, zgoła sprzeczną z tem, co poprostu nazywa się cnotą.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że romantyczni arystokraci ducha, podobnie jak ich następcy z czasów Wilde'a i Nietzschego, wcale nie mieli obowiązku przestrzegania zwykłych zasad uczciwości. Wolno im było nawet wchodzić w kolizję z kodeksem karnym, a w pewnych wypadkach było to nawet obowiązkowe. Powinni byli być w wysokim stopniu zepsuci, ale mieli obowiązek cierpienia z tego powodu i zachowywania form osobliwego *savoir vivre'u*. Ten ostatni postulat uczynił w końcu z arystokratów ducha pospolitych kabotynów. Z początku nie wystarczało być filozofem. Trzeba było mieć jeszcze specyficzną filozoficzną pozę. Tak samo było z t. zw. bohaterstwem. Skończyło się na tem, że zarówno filozofja, jak bohaterstwo i wszystkie tym podobne zalety stały się zbyteczne. Została tylko Czysta Poza, Poza *an sich*, taka właśnie, jaką wielbił w Brummelu Barbey d'Aurevilly i jaką produkowała później Młoda Polska i jej epigoni. Trzeba przyznać, że sprawy te były dokładnie dostrzeżone już przed wojną; wystarczy wspomnieć *Palubę* Irzykowskiego a potem kawalera de Charlu Prousta. Ale trudno rozstrzygnąć, czy krytyka ówczesna mogła się zdobyć na zdemaskowanie całego fałszu, tkwiącego na dnie koncepcji arystokracji ducha. W każdym razie nie mogli tego dokazać idealiści, ignorujący świadomie ten krąg myśli, który narzuciła światu walka o prawo do życia klas pracujących. Celem moim jest wykazanie, do jakiego stopnia koncepcja arystokracji ducha stała się hamulcem naszej kultury narodowej, i wskazać maski, poza któremi wegetuje do dziś dnia, pilnując bacznie, żeby nikomu nie przyszło do głowy obrócić się do niej tyłem.

III

Myślę, że będzie dobrze objaśnić całą sprawę przykładami wziętemi z życia. Przedewszystkiem chcę opowiedzieć, w jaki sposób atmosfera przedwojenna hamowała mój własny rozwój artystyczny w okresie studjów paryskich. Sprawa pochodzenia nie odgrywała ważniejszej roli, bo, ulegając ogólnej modzie, uważałem się wówczas za szlachcica, ale sprawa wielkiej tradycji francuskiej przybierała postać naprawdę groźną. Powiedziano mi, że do tego, żeby zrozumieć kulturę francuską, trzebaby siedzieć w Paryżu może przez całe życie. Odsłonięto przede mną tajemnicze głębie imponderabiliów, tkwiących w atmosferze paryskiej, oceany doświadczeń odziedziczonych, wessanych nieświadomie razem z powietrzem Paryża i jego zapachem, wypitych razem z czerwonem winem francuskiem, z miłością midinetek i rozkosznemi uśmiechami starożytnych zakątków wyspy św. Ludwika. Zacisnąłem zęby prawie jak Bartek Zwycięzca, zacząłem brać szturmem jedną redutę nastrojów paryskich za drugą i skończyło się na tem, że po roku wyrafinowany Francuz, uczeń Bourdelle'a i snob pierwszej klasy, zapytał się mnie w ciągu intymnej rozmowy: *Dites-moi, Chwistek* — wymawiał moje nazwisko o wiele poprawniej, niżby tego pragnęli moi polscy koledzy — *à quoi pensent ils, les gens profonds?*

Ale zwycięstwo to było drobiazgiem w porównaniu do spustoszenia, jakiego dokonała we mnie wiara w arystokrację ducha.

Daremnie wpatrywałem się w Cezanne'a, daremnie studjowałem teoretyczne artykuły o jego sztuce. Nie odczuwałem go i do dzisiaj jest mi wewnętrznie obcy, jakkolwiek jestem pewny, że on właśnie przedewszystkiem zadał cios śmiertelny konwencjonalnemu arystokratyzmowi sztuki. Dzisiaj nie widzę w tem zjawisku nic niepokojącego, ale wówczas załamałem się na niem na długie lata. Wierzyłem, że istnieje wiedza tajemna o sztuce, i byłem pewny, że wiedza ta jest mi niedostępna. Pracowałem pomimo to i szedłem naprzód, ale zdawałem sobie sprawę, że jest to beznadziejne walenie głową o ścianę betonową.

Stwierdziłem, że zwierzenia tego rodzaju wywierają wielkie wrażenie na wszystkich artystów, którzy musieli stanąć do walki z autorytetem Paryża. Jeden z nich zrewanżował mi się następującem opowiadaniem, które wydaje mi się godnem zanotowania.

Mam na myśli wytwornego artystę krakowskiego, kolegę S.

Przyjaciel, u którego mieszkał w Paryżu, wysłał go na wystawę obrazów modnego w owym czasie Sutina. Wystawa podobała się koledze S., ale nie mógł znaleźć na niej Sutina. Były dzieła innych malarzy, Sutina nie było. Kolega S. zwierzył się przyjacielowi z tego przykrego zawodu. — Ależ — powiada przyjaciel — Sutin jest tam napewno, — obrazy bez ram... umyślnie — idź jeszcze raz koniecznie. S. przypomniał sobie obrazy bez ram, które uznał za trzeciorzędne kicze. Poszedł jeszcze raz, zobaczył i był zachwycony.

Ten ostatni wypadek przenosi nas do czasów najnowszych, kiedy Paryż doprowadził terror artystyczny do absurdu, kreując wielkości z dnia na dzień i posługując się w pierwszym rzędzie pośrednictwem handlarzy. Trudno się dziwić, że ludzie ostatecznie zrozumieli, że to, co uważali za słupy Herkulesa, postawione na granicach piękna, jest kukłą na glinianych nogach. Ale było już za późno. O tem, że istnieje prawdziwa arystokracja ducha i prawdziwe upojenie się sztuką, zapomniano bezapelacyjnie.

Sztukę prymitywów i sztukę dziecka lansowano jako groteskowe ciekawostki i naśladowano w sposób naogół nieudolny z uśmiechem politowania i wyższości. Ale zapomniano o tem, że właśnie ten prymitvw i to dziecko, które nie ma pojęcia o Czystej Sztuce, a chce jedynie skopjować ilustracje podręcznika szkolnego — i tworzy genjalne, zgoła do wzoru niepodobne kulfony, — jest właśnie prawdziwym arystokratą ducha, wobec którego wszyscy teoretycy i fachowcy wzięci w kupę są politowania godnymi snobami.

Powracam do tej myśli, że prawdziwej arystokracji ducha należy szukać wśród dzieci i wśród ludzi prostych. Oficjalna elita może mieć przed sobą jedno tylko zadanie. Chronić ich od swojego własnego sceptycyzmu i pustki i uczyć ich, żeby nie entuzjazmowali się ogłoszeniami Van Houtena i ich rodzonymi braćmi, wypełniającymi nasze wystawy narodowe i międzynarodowe.

Takie zakończenie byłoby zbyt tragiczne dla elity. Dodam jedno słowo pociechy. Polska elita nie jest na szczęście zbyt wyrafinowana. Są to przeważnie ludzie prości i brutalni. Wystarczy, żeby zrzucili z siebie krępujące więzy *savoir vivre'u*. Jeśli będą naprawdę sobą, staną się jako dzieci, a wtedy wszystko będzie dobrze.

LEON CHWISTEK

DROGA PODZIEMNA

(REPORTAŻ Z FRANCUSKIEJ KOPALNI)

Gdy wyszliśmy z budynku dyrekcji kopalni, mgły leżały na okolicznych szybach.

Szliśmy zgóry nadół, zsuwając się po glinie. Nad nami dzwoniły kopalniane wózki, szybowane na wysokich żelaznych gankach, zawieszonych między pagórkami gliny i szutru ponad rozpadliną zawaloną czarnem błotem. Potem wspinaliśmy się jeszcze ciężkiemi górniczemi buciskami wgórę po zwalistym stoku, bo nie było do szybu żadnego przyzwoitego dojścia.

Wreszcie już był ten szyb. Zaczęły się oględziny. Przeszliśmy olbrzymią szatnię — zarazem suszarnię robotniczych ubrań, lampiarnię, łaźnie i tusze.

Wszystko tu było jakieś stare, zużyte, bezduszne i nieżywe. Pustką zionęło w lampiarni. Niczego nie mogłeś wyczytać z długich rzędów nagich haków. Dla nas nic nie krył w sobie numer, umieszczony nad hakiem, ale dla inżyniera żyła pod tą liczbą wyraźna twarz górnika. Żył człowiek, którego nazwisko było tu zbyteczne, gdyż jego zdrowe ręce i nogi, mięśnie i płuca, spryt i doświadczenie górnicze zapisywano pod numerem w lampiarni.

W łaźniach widziało się niedbalstwo zarządu kopalni. Porozrywane były nawskroś od podłogi po powałę kaflowe ściany, rozdarta na pół posadzka. Zdawało się, że lada chwila miało to runąć wszystko, zapaść się pod ziemię, za wolą znieważonych praw natury, której wydzierano codzień z wnętrza kamienną czarną duszę.

Zeszliśmy wreszcie do komory wind. Naokoło była rdza i węgiel. Nawet ludzie byli wpół rudzi jak windowa klatka, wpół czarni jak rozsypany wszędzie węgiel.

Co chwilę wyskakiwał z pod podłogi trzypiętrowy kosz windowy, naładowany wózkami węgla. Dzwoniło żelazo i kamień. Głośne i hałaśliwe były narzędzia a ludzie naokół byli cisi. Jedni z nich, ci z tamtej strony wysokich komór windowych, dzwonili hukiem stalowego pręta, którym wypychali z klatek wózki, ci znów bliżsi odzywali się jedynie stukotem wózków, przerzucanych na szyny i na ruchomy łańcuch. Jeszcze inny tam jakiś człowiek zamienił się cały w dzwonek, którym raz poraz popędzał do nowego ruchu roztelepane windy.

Czas było zjeżdżać. Weszliśmy do jednej klatki, z której usunięto wózki. Jakiś gwizd, dzwonek i nadół. Rzuciła się w ziemię winda. Zadygotał każdy strzęp żelaza w ochwierutanej, starej maszynerji. Rwało tak na wszystkie boki, że gdyby nie okrągła studnia szybu, wylecielibyśmy z tej klatki, bo każdy pręt i wiązania dygotały jak w febrze.

Znalcźliśmy się wreszcie na poziomie. Wielka komora podziemna, w której hula przeciąg. Długie gąsienice czarnych wózków suną leniwie bocznemi chodnikami. Najdłuższy wąż wypełza z lewej nory. Wywleka się na przedzie szeroka głowa podziemnego potwora, lokomotywka Diessla. Wielki żelazny jamnik toczy się na skrzywionych kulasach. Mijam się zbliska z potworkiem i wtedy dopiero widzę, że z boku maszyny błyszczą ponad lampką oczy jakiegoś zwierzątka. To człowiek. Zlepiony z brzuchem maszyny człowiek. Skulił się, skręcił, przycupnął, kark ma nieomal wyżej niż głowę, bo musi ją chronić przed zdradzieckim stropem kopalni.

Przetoczył się wreszcie obok nas cały pociąg, złożony z dwudziestu wózków.

Teraz inżynier daje cztery sygnały ręcznym dzwonkiem. To ma nam zabezpieczyć przejście. Idziemy dalej. Zrazu strop betonowy, tu i ówdzie pęknięty. Zupełnie jakby się szło na piechotę ciemnym tunelem paryskiego metra. Nie wiele jednak jest tego wykwintu, bo już po kilkudziesięciu krokach przechodzimy w chodnik drzewem obudowany. Zaczyna się coraz gorzej, zwężają się i zniżają chodniki, tak że już idziemy wpół zgięci. Chodnik jest tak niski, że posuwamy się miejscami nieomal na kolanach, mieszając butami czarne błoto, bryzgające z pod nóg na wąskie ściany chodnika. Potem już szyn nie widać, więc brniemy powyżej kostek w mule. Po grzbiecie uderzają nas co chwilę rury, służące do zatapiania chodników, drugie, cieńsze, syczące zgęszczonem powietrzem i grube kable elektryczne. Nawet na kolanach trudno iść, bo chodnik ma może metr wysokości. Zrobiono go nie dla człowieka lecz dla wózka. Wózek jest dygnitarzem w kopalni. Wózek nie przygnie grzbietu, człowiek przygnie.

Ktoś mówi z tyłu.

— Może już dość. Czy panowie chcą dalej?

Chcemy dalej. Chcemy zobaczyć wreszcie ludzi i pracę. Co się tam dzieje w łomliwych przodkach, skoro już tu mamy przedpiekle? Jak tu pracował człowiek? Jakim cudem kuł te niekończące się, krecie przejścia? Gdzie miał rozmach, czem tłukł ten kamień, do stu piorunów? Czy gryzł zębami, szarpał pazurami, na brzuchu leżał czy na plecach przy ciężkiej górniczej mordędze?

Chcemy dalej. Chcemy tam, gdzie zobaczymy ludzi. Naszych ludzi. Wiemy, że tam gdzie najcięższa praca, pod trzeszczącemi stropami, w przodkach zdradzieckich znajdziemy drużyny obcokrajowców. Znajdziemy przedewszystkiem Polaków.

Co krok jest gorzej, każdy chodnik strzaskany. Wpółzłamane grube bele na stropach, cudem chyba, bo nie temi paździerzystemi strzępami, podtrzymują nacisk 600 metrów pionu. Cała boczna obudowa chodnika zgnieciona osuwającemi się ścianami. Sypie się wciąż na kark zgóry i trzeszczy przeraźliwie z boku.

Zsuwamy się w dół i znów drapiemy do góry. Przedtem było zimno w pełnem górniczem ubraniu i w grubej kurcie, a teraz przeraźliwie ciepło. Coraz goręcej. Ciężą przemoczone buty i spodnie, kurta i hełm. 45° Celsjusza a do tego brak powietrza, bo skończyła się wentylacja.

Stoimy na rozgwiezdni w przodkach.

Obok nas w komorze siedzi trzech ludzi w węglu. Widać tylko białe zmierzwione strzępy gazet, z których wygrzebują podłużne drążki francuskiego chleba. Tak czarni, że dopiero po chwili widzę, że są nadzy. Twarzy nie widzę żadnej.

— Tu się musimy rozebrać — objaśnia nas inżynier.

Skończyła się dotychczasowa dziwna cisza kopalni, przeszywana przedtem jedynie chlupotem naszych butów w błocie i sygnałami alarmowych dzwonków, a na jej miejsce rozgdakał się przed nami przejmujący warkot.

To gra świder. Jesteśmy w samym przodku. Dwie świeże belki podtrzymują napór walącego się węgla, a naokoło wisi na czarnej, błyskotliwej ścianie czterech ludzi.

Jeden z lewej strony, przyczepiony dziwną sztuką do pionowej ściany, podnosi razporaz olbrzymie żelaziwo elektrycznego świdra, zahacza dłuto o wyrwę i pruje oporną skałę. Za każdym razem kładzie się na trzonie świdra niemal całem ciałem i walczy z nieustępliwą skałą.

Na prawo drugi kruszy ścianę kilofem. Widać go nagiego z poza belki. Przechylił się wtył i łupie węgiel tuż ponad swoją głową. Pot mu wypisał trzy białe kreski na szerokiej szyi. Na rozłożystych owłosionych piersiach siedzi mu gniazdo mielonego węgla, pod którym widać grubą szczecinę siwych włosów starca.

Tu napewno wszyscy, lub większość, to Polacy, ale ten stary skupia najbardziej naszą uwagę. Odkąd przyszliśmy tu z inżynierem, on jeden nie przyśpieszył tempa pracy, a nawet widać u niego pozorną opieszałość. Regularnością wysiłku daje znać, że pracuje zawsze jednako, przy szefie czy bez szefa.

Przełażę przez belkę. Wtedy krzyczy coś do mnie, ale piker wali z takim hałasem, że i tak słów tych nie słyszę. Widzę je raczej w jego ustach:

— *Attention, attention!*

Wymijam belkę. On ciupie dalej węgiel. Nie chodziło mu zresztą w tem ostrzeżeniu o mnie, tylko o belkę. Dopiero co postawił ją, aby podtrzymać tysiące tonn skały, czyhającej na jego siwą głowę.

— To Polak — krzyczy mi do ucha inżynier.

Podchodzę bliżej starca. Stoi ode mnie wyżej na węglowej wyrwie tak, że muszę podnieść wysoko lampę, aby mu oświetlić twarz.

Nagi i czarny. Pod pachami ma białe wypocone zatoki. Stara, siwa głowa, wyczerniona w trzech czwartych węglem. Patrzę mu w twarz, ale nie widzę twarzy. Ma na niej wielkie rozmazane plamy, że wygląda jak cyrkowy błazen.

Przerwał pracę i patrzy we mnie. Czyta mi wszystko z gęby. Jego oczy mówią mi, że jestem zwyczajnym oglądaczem kopalni, który dla rozrywki bawi się ludzką męką. Takich tu wielu chodzi.

Wtedy krzyczę po polsku:

— Jak się macie?! Szczęść Boże!

Napozór nie robi to na nim żadnego wrażenia. Mruknął coś na odpowiedź i dalej wali w ścianę. Właśnie mu kilof wyciupał ostrą kotlinkę i wyszarpnie teraz gruby kawał węgla.

— Co słychać?

— Źle słychać!

Najwyraźniej jest wściekły. Coś mu siedzi na sercu.

Źle słychać. Dziesięć lat w Westfalji, trzynaście lat we Francji. Po tylu latach zdeklasowali i dali na gorszą robotę. Wiecznie tak gryźć i gryźć tę cholerę pod ziemią, to kiedyż u licha będzie robił na wierzchu? Na wierzchu, to jakby już w samem niebie. W niebie za żywota. Ale tam same Francuzy siedzą. A tu na dobitkę nie idzie. Paskudne węglisko i nie można tego drańśtwa nijako urwać. O tem nie mówi, że lezie pół godziny niemal na kolanach na szychtę. Ostatnie żyłki węgla każą wygrzebywać na raczkach, a u nas w kraju, Boże święty, można hulać pod ziemią. Sale balowe, wie pan? A franki, franule, znaczy się. Z franulami też gorzej. Trzy dni w tygodniu i 28 franków dziennie.

Akord? Nie akord. Dniówka. Na akord tu żaden djabeł nie zarobi. Trzebaby 60 — 70 wózków dziennie wraz z pikerem, a z czego to wyskrobać?

Od czasu do czasu gruchnie kilofem i znowu do mnie zagadnie. Rozgadał się, ale wciąż mówi z jakąś pasją. W miarę jak rozmawiał, błyska mu w świetle lampy węgiel na wąsach, jak tłuczone czarne szkiełka. Ten drugi, młody od świdra, ślepy na jedno oko, śmieje się właśnie i krzyczy:

— Proszę pana, bo stary dziś cięty. Powiedzcie, Jędrzeju, co wam siedzi na wątrobie?

Zaciekawiam się. Właśnie nadchodzi inżynier. Stary szarpnął haczystym kilofem i mówi:

— No to powiem. Ukradli mi dziś cholery Francuzy cztery króliki. Z ogródka przy chałupie. Niesie im rano moja stara nać z marchwi, a tu wyszarpnięte drzwiczki, psiakrew. Trzy takie krase, a jeden z czarnemi uszami.

Śmieje się tamten, sztygar i inżynier, a stary gada dalej:

— Mówią, że we Francji niema złodziei. Są złodzieje. Wszędzie są złodzieje. W Niemczech i we Francji też. W Niemczech mi ukradli ubranie.

Nie wiele już mówimy potem. Jestem już cały mokry. Naprawdę nie można tu dłużej wytrzymać.

Dajemy cztery sygnały. W gardłach chodników przejście wolne. Żegnają nas podniesionemi lampami i nowym stukotem kilofów.

— Trzymajcie się, moi drodzy, szczęść Boże!

— Szczęść Boże!

Znów zsuwamy się na raczkach. Znów tłuczemy hełmami o strop. Droga powrotna jest jeszcze bardziej uciążliwa, bo spychają nas w dół spadzistości.

Na dole brnę z powrotem w błocie. Za każdym krokiem słyszę słabnący głos kilofa, którym stary górnik uparcie tłucze w węgiel. Jeżeli mnie młodemu cięży droga, ileż wysiłku traci na nią codzień tamten? Skulony w krzyżu patrzę na czarne połyskujące w wodzie szyny kopalnianej kolejki i chcę, przymuszam się, żeby spamiętać twarz górnika.

Nie widzę twarzy i nigdy jej w życiu nie zobaczę. Widzę wciąż jedynie zlepki siwych włosów i czarne zamazane plamy na niewidocznej twarzy. Nie widziałem wogóle człowieka, widziałem ruchomy kawał francuskiego węgla, podobnego do postaci człowieka, z którego patrzyły żywe jedynie oczy. Na oczach nie było węgla.

Jesteśmy już w innym chodniku. Strasznie zimno. Wkładamy z powrotem ubranie i grube zielone kurty. Trzeba zapiąć pod samą szyję.

Strasznie zimno.

MICHAŁ RUSINEK

DUSZA CZY MASZYNA?

Nie ulega zdaje się wątpliwości, że cała nasza dzisiejsza kultura, t. zw. europejska, przechodzi pewnego rodzaju przesilenie. Rozpowszechnia się przekonanie, że u podstaw wspaniałego gmachu tej kultury zarysowuje się jakby jakieś pęknięcie i że wskutek tego konieczna jest zupełna jego przebudowa. Na wszystkich niemal polach życia widzimy gorączkowe poszukiwanie form nowych a porzucanie starych.

Razporaz pojawiają się dzieła, przepowiadające upadek cywilizacji zachodnioeuropejskiej i wskazujące na konieczność szukania nowych dróg rozwoju ludzkości.

Czasy dzisiejsze w tym kręgu kulturalnym, w którym żyjemy, pełne są zaciętej walki pomiędzy passeistami, obrońcami starego porządku rzeczy, a rozmaitymi futurystami czy też awangardzistami, jak się lubią często nazywać poszukiwacze dróg nowych. I gdy z jednej strony nawołuje się do powrotu do dawnych czasów, do stworzenia nowego średniowiecza, to z drugiej strony zwolennicy nowych kierunków nawołują do radykalnego zerwania z przeszłością.

Mogłoby się zdawać, że wraz z oszołamiającym postępem techniki sam byt ludzkości na coraz pewniejszych będzie mógł być oparty podstawach. Tymczasem tak nie jest. Człowiek na swoich maszynach osiąga coraz to bardziej nieprawdopodobne szybkości i coraz to większą zyskuje moc nad materją. Ażeby jednak tę moc uzyskać i wyzyskać, musi posługiwać się niesłychanie skomplikowanym aparatem technicznym, którego wytwarzanie i obsługa tyle sił pochłania, że twórca tego aparatu nie jest w stanie zastanowić się nad celem, do którego cały ten rozwój prowadzi. Aparat techniczny, który początkowo był jedynie środkiem do uprzyjemnienia człowiekowi życia, staje się powoli celem samym w sobie — jakimś polipem, wysysającym z człowieka wszelką myśl i pracę. Rodzi się przekonanie, że samo wytworzenie i opanowanie technicznego aparatu, doprowadzonego do niesłychanej precyzji, może wystarczyć, ażeby zupełnie opanować człowieka i ulepić go według pewnego zgóry upatrzonego modelu. Powstaje przekonanie, że człowiek jest niejako tworem, funkcją aparatu. Można jednak zaryzykować twierdzenie, że chociaż maszyny pracują z coraz to większą precyzją i chociaż coraz potężniejsze za ich pomocą możemy osiągać wyniki, dające się zgóry obliczyć i przewidzieć, to jednak pierwsze podstawy naszej nauki, która stworzyła technikę, są coraz bardziej ciemne i tajemnicze. Słusznie powiedział jeden z czołowych przedstawicieli dzisiejszej fizyki, Herman Weyl, że matematyk dzisiejszy, który operuje coraz to bardziej precyzyjnym aparatem pojęciowym, powinien przecież od czasu do czasu rzucić spojrzenie na owe pierwsze tajemnicze i niewyjaśnione podstawy swej nauki. Na te słowa Weyla trafnie zwraca uwagę w jednem ze swoich studjów Stanisław Ignacy Witkiewicz, którego cała twórczość naukowa, literacka i artystyczna jest przepojona zaciętą pasją określenia i zbadania zasadniczych prawd naszego bytu i zwrócenia uwagi dzisiejszej ludzkości, zahypnotyzowanej techniką i jej rozwojem, na otaczającą nas i przenikającą wszystko tajemnicę stworzenia. Tak jednak jak teraz rzeczy stoją, jedynie tylko nieliczne jednostki znajdują czas i ochotę, ażeby zastanawiać się nad owemi pierwszemi, tajemniczemi i niepokojącemi zagadnieniami podstaw naszego istnienia. Wiara we wszechmoc techniki i aparatu technicznego coraz to bardziej utrwala się i rozpowszechnia. Wiara ta jest typową dla kultury Rosji sowieckiej. Dla rozkwitu coraz większej rozbudowy aparatu technicznego poświęca się tam osobowość ludzką. Zgodnie z zasadami marxizmu, panuje tam przekonanie, że warunki ekonomiczne determinują zupełnie rozwój osobowości ludzkiej, że wytwarzanie i obsługiwanie maszyn jest jednym z naczelnych celów nowego porządku rzeczy.

Wybitny niemiecki filozof Karol Jaspers w swojej niezwykle ciekawej książce p. t. *Die geistige Situation der Zeit* zwraca trafnie uwagę, że ta wiara w potęgę i wszechmoc aparatu technicznego jest charakterystyczna dla wielu dziedzin naszego życia. Ta wiara cechuje według Jaspersa teorję rasizmu, która twierdzi, że zapomocą pewnych środków technicznych, zmierzających do wyhodowania i utrzymania pewnego typu rasowego, można wytworzyć nowego, pełnego sił życiowych człowieka. Jaspers stwierdza, że ta sama wiara przebija w rozmaitych teorjach psychologicznych, jak np. głośnej psychoanalizie Freuda. Według zasad tej nauki, człowiek staje się marjonetką nieświadomości, a wszystkie jego najbardziej zacięte i wstrząsające walki wewnętrzne są wynikiem seksualnych pożądań i zahamowań. Psychoanaliza sądzi, że zapomocą pewnych technicznych zabiegów człowiek może odkryć w sobie te zahamowania seksualne, a przez to unieszkodliwić je i osiągnąć spokój wewnętrzny i szczęście. Cała osobowość nasza koncentruje się tutaj niejako na zewnętrznej powłoce, a najbardziej wewnętrzne przeżycia stają się wypływem fizjologicznych pożądań. Jaspers odrzuca wszystkie powyższe doktryny, głoszące wszechmoc aparatu technicznego, i sądzi, że mają one najwyżej słuszność częściową, nie mają jednak słuszności zupełnej. Aparat techniczny bowiem może w pewien sposób wpływać na rozwój naszej osobowości, ale osobowość nie wyraża się bez reszty i w zupełności w tym aparacie. Jest ona bowiem czemś większem i głębszem. Zapatrywania Jaspersa są również i z tego względu ciekawe, że jest to lekarz, psychjatra, autor znakomitej *Psychopatologji*. Zarazem jednak jest to i głęboki myśliciel, który widzi jasno, że osobowość ludzka jest czemś zasadniczem i pierwotnem, że nie może być w zupełności opanowana zapomocą pewnych technicznych zabiegów. Jaspers, widząc jedną z przyczyn dzisiejszego kryzysu w wierze we wszechmoc aparatu technicznego, chce przeciwstawić tej wierze wiarę inną — wiarę w człowieka. Zachodzi jednak pytanie: czem jest człowiek i na czem ta wiara w niego polega ?

Otóż tutaj twierdzenia Jaspersa nie przedstawiają się zbyt jasno. Człowiek bowiem jest istotą niezwykle skomplikowaną, kryje w sobie cały szereg rozmaitych możliwości i niewiadomo, na jaką z cech jego duszy należy położyć główny nacisk. Jaspers rzuca w zakończeniu swego dzieła hasło, że zadanie naszych czasów polega na tem, ażeby człowiek przypomniał sobie sam o sobie. Zdanie to jest zupełnie słuszne, jeżeli je będziemy rozumieć jako przekonanie autora o konieczności wyzwolenia się z wiary we wszechmoc aparatu technicznego. Nie przedstawia się ono jednak jasno, jeżeli będziemy mu chcieli nadać pewien sens pozytywny. Niewiadomo bowiem, którą substancję wśród setek możliwych musimy uznać w człowieku za zasadniczą, o której przedewszystkiem musimy pamiętać.

Dzieło Jaspersa daje niezwykle ciekawą i w wielu ustępach wzruszającą analizę walk duchowych dzisiejszej ludzkości, nie daje jednak żadnego pozytywnego programu. Ciekawą próbę takiego programu daje natomiast studjum świetnego naszego humanisty Stanisława Wędkiewicza p. t. *Idealy franciszkańskie a kryzys t. zw. kultury zachodniej*. Twierdzenia Wędkiewicza są w znacznej części zbieżne z twierdzeniami Jaspersa. Gdy Jaspers na podstawie analizy dzisiejszej nauki stwierdza, że naukę tę cechuje wiara w aparat techniczny, Wędkiewicz przychodzi do wniosku, że w dzisiejszej kulturze ilość zwycięża jakość a ideałem staje się ruch, szybkość i rekord. I podobnie jak Jaspers, tak i Wędkiewicz stawia sobie pytanie, gdzie mamy szukać wyjścia z dzisiejszego zamętu i chaosu. Zdaniem polskiego myśliciela, powinniśmy się starać nawiązać tutaj do nauk wielkiego twórcy zakonu franciszkanów. Wbrew wielu zapatrywaniom, Wędkiewicz nie widzi w św. Franciszku „tylko dobrotliwego filantropa i egzaltowanego uczuciowca“. Jego zdaniem etyka św. Franciszka jest etyką twardą, męską i heroiczną. Nie zachwyca on się nazbyt ani wilkiem z Gubbio ani ptaszkami słuchającemi kazania, które mogą stanowić jedynie wdzięczny temat do obrazu, ale nie mogą uśmierzyć kryzysu kultury dzisiejszej. Co dla nas w naukach św. Franciszka powinno być najbardziej istotne, to jego ideał ubóstwa, który należy rozumieć nie jako zupełną nędzę, ale jako oswobodzenie się z niewoli pieniądza i z kultu materjalizmu. A więc nie troska o pomnożenie dóbr materjalnych i dalszy rozwój aparatu technicznego mają być głównem naszem staraniem; wszystkie te rzeczy bowiem muszą być uważane za środki, a nie za główny cel; celem zaś powinno być mądre stosowanie miłości bliźniego.

Wszystko to brzmi napozór bardzo prosto i jest rzeczą, zdaje się, oddawna znaną. Zarówno jednakże skrajny amerykanizm, jak i bolszewizm zapominają o tych prostych wskazaniach. Zdaje mi się tylko, że również w miłości franciszkańskiej do wszechstworzenia można się doszukać ważnych i cennych dla naszej kultury wskazań, i że opowieści o wilku z Gubbio i ptakach słuchających kazania — prócz poetyckiej piękności — mają również i realne znaczenie. Widzimy tu bowiem korne schylenie czoła przed tajemnicą życia, z opowieści tych przebija wiara, że i najlichsze stworzenie ma swoją nieocenioną wartość i ma swój sens istnienia. Widzimy tu odwrócenie się od kultu maszyny a na jego miejscu głęboko ujęty kult duszy. Zapewne, że cały rozwój dzisiejszej techniki otworzył przed człowiekiem nowe, nieznane przedtem możliwości. Śmiesznem byłoby chcieć odwrócić bieg dziejowy i cofnąć się do kołowrotka. Śmiesznem byłoby również nie dążyć nadal do jaknajwiększego technicznego rozwoju, ale obaj wymienieni przez nas myśliciele słusznie stwierdzają, że nie są to rzeczy najważniejsze i nie mogą być uważane za cel, ale jedynie za środek. Rozwój techniczny bowiem, o ile nie odpowiada mu równoległy rozwój moralny, może stać się zgubnym i doprowadzić do zatracenia największych ludzkich wartości. Dusza ludzka bowiem nie jest maszyną i nie można jej wyrazić bez reszty w żadnym technicznym aparacie.

Dzieła Jaspersa i Wędkiewicza nie są dziełami jedynie suchych gabinetowych uczonych. Dają one głębokie wejrzenie w dzisiejsze walki i wstrząsy duchowe. I mimo wszystkich różnic, które dzielą heidelberskiego lekarza od polskiego humanisty, przebija w ich dziełach wspólna tęsknota za nowym człowiekiem i wspólny podziw dla niedającej się nigdy zgłębić tajemnicy duszy ludzkiej.

ADAM STAWARSKI

W OBRONIE TATR

W dziejach ludzkości powtarzają się co pewien czas takie same lub podobne zdarzenia, powstają podobne inicjatywy, wywołujące w społeczeństwie takie same reakcje. Zmieniają się formy, treść zaś przeżyć pozostaje niezmieniona.

Przed 30 laty był aktualny projekt kolejki na Świnicę. Projekt ten upadł, spór ów dawno już zamarł, gdy oto niedawno, w innej formie, znów powstaje jak upiór przeszłości.

Tym razem mówi się o kolejkach linowych, jednej na Łomnicę, drugiej na Kasprowy. Ponieważ spór o kolejkę na Łomnicę odbywa się w łonie społeczeństwa czesko-słowackiego, zatrzymam się tylko na projekcie nam bliższym, tyczącym się Kasprowego. Zrozumiałem jest jednak, że argumenty i rozważania, jakiemi się posługuję, stosują się do obu projektów.

W istocie swej spór, jaki powstał, nie jest sporem tylko o wartości materjalne, lecz nadewszystko o duchowe. I one to, stanowiąc najwyższe wartości dla całego Narodu, są bezcenne. One właśnie są rozstrzygające.



Górne piętro doliny Kasprowej z limbami Fot. Zwoliński

Rozważyć więc przedewszystkiem trzeba korzyści, jakie mogłyby wyniknąć z budowy kolejki, a potem straty, jakiebyśmy z tego powodu wynieśli, i odważyć je na szali wartości.

Projektodawcom kolejki zależy po pierwsze na udostępnieniu gór szerszemu ogółowi, po drugie na ułatwieniu podejścia na wycieczki letnie, po trzecie zaś, i to jest może najważniejsze, na uprzystępnieniu Kasprowego i Hali Gąsienicowej w zimie dla wypraw czy zawodów narciarskich.

Konieczność udostępnienia gór dla szerszego ogółu, dla tych, którzy po górach nie chodzą, nie jest tak niezbędna, ponieważ ci, co dotychczas wcale lub mało tylko chodzili, nie mieli widocznie zainteresowania do gór, a chorzy lub ludzie starsi nie odczuwają już dawnego entuzjazmu. O ile zaś mają swoją przeszłość górską, to żyją w niej wspomnieniami, którychby z pewnością nie zastąpił urok (!) wyciągu linowego na Kasprowy.

Kolejka na Kasprowy jako ułatwienie w podejściu na wycieczki nie gra ważnej roli, bo wobec schronisk na Hali Gąsienicowej, które się jeszcze rozbudują, schroniska przy Pięciu Stawach, w dolinie Koprowej i Ciemnosmreczynach, turysta ma zawsze zapewniony punkt oparcia dla swych wycieczek w tym rejonie. Na dalsze szlaki górskie, w głąb Tatr, kolejka wpływu by nie miała. Szlak zaś graniami od przełęczy Liljowej do Tomanowej jest przecież łatwo dostępny w czasie i przestrzeni, idąc z Hali Gąsienicowej.

Jeśli zaś chodzi o uprzystępnienie terenów narciarskich w okolicach Kasprowego, to w pewnej mierze byłoby ono rzeczywiście istotne. Lecz i tu przy biegach zjazdowych powinno być brane w rachubę i podejście zawodników, które byłoby miarą ich wyrobienia i wytrzymałości. A Hala Gąsienicowa daje przecież dla ogółu narciarzy również wystarczającą podstawę, z różnicą wzniesienia dla szczytu Kasprowego nie przekraczającą 470 m, licząc od schroniska Pol. Towarzystwa Tatrzańskiego, co jest jak na stosunki górskie, alpejskie w szczególności, cyfrą znikomą. Słuszne tu będzie zauważyć, że wobec srogiej zimy tatrzańskiej, sroższej niż na tych wysokościach w Alpach, niezawsze kolejka mogłaby funkcjonować. Nawet w Alpach kolejki zawieszają niekiedy swą działalność zimową.

Rozpatrzmy teraz strony ujemne.

Przeciwnikom projektu chodzi nietyle o zeszpecenie krajobrazu samą kolejką, ile o konsekwencje, jakie taka budowa za sobą pociąga. Są one natury bardzo realnej. A więc muszą być przystanki na szczycie — większe pomieszczenie dla obsługi kolejki, przytem dla publiczności pewna dyskretna i wonna ubikacja (bez kanalizacji trzebaby się obyć). To narazie, a potem w miarę wzrastających potrzeb i wymagań klienteli kolejki okaże się niezbędną budowa restauracji, bo jakże nie pomyśleć o zaspokojeniu zgłodniałej rzeszy turystów z apetytem zaostrzonym powietrzem górskiem? Nie zabraknie też napewno radja z głośnikiem ani gramofonu dla urozmaicenia zjazdu i pobytu na szczycie (już teraz na Hali Gąsienicowej rozlegają się różne niesamowite dźwięki, nieharmonizujące z górami). Dalszym zaś etapem będzie dancing na jakiejś platformie specjalnie urządzonej, no i reklamy. Podobne obrazy mamy już w Szwajcarji i w Ameryce.

Wyśmienitą, choć niezupełnie jeszcze, ilustrację tego, czem może być taka kolejka, dał nie tak dawno *Ilustrowany Kurjer Codzienny* w powieści feljetonowej *Keep Smiling* pióra Roberta Perutza. Autor, jadąc kolejką na Mont-Michel w górach północnej Karoliny, doznał tylu wrażeń psujących nastrój, że „jak zbity pies z podwiniętym ogonem“ zjechał „w prozaiczne doliny“, gdzie doznane wrażenia „nie kontrastują tak złowrogo z cudami przyrody“.

A teraz wyobraźmy sobie ten zgiełk, ten nastrój miejski u nas w górach, w tym niewielkim skrawku Tatr, który możemy nazwać tylko naszym. Jak echo rozgłaszałoby wdal, w różne zakątki tatrzańskie, przez ludzi przyniesioną wrzawę; nie byłoby gdzie się już schronić od niej. Tatry nie byłyby już wypoczynkiem ani odrodzeniem dla duszy i ciała, nie możnaby było zatapiać się w ich pięknie, skupiać w ich ciszy i nie byłyby już bodźcem dla myśli ludzkiej i dla czynów, dla poezji i muzyki.

Zresztą, wielki łańcuch alpejski o wysokich szczytach może sobie i na to pozwolić. Panują tam właściwie dwa światy. Jeden niższy, z licznemi kolejkami zębatemi czy linowemi, choć pełen uroku i przepięknych widoków, stanowi tylko jakby przedgórze Alp wysokich. Mieści on w sobie mnogie miejscowości klimatyczne i on jest właśnie tym jarmarkiem turystycznym, poświęconym pospolitości, tłumom oraz niezliczonym przedsiębiorstwom i przedsiębiorcom, eksploatującym ten tłum.

Drugi zaś, wyższy, jest krainą wyniosłych szczytów, wiecznych śniegów i lodowców. Rzadko tylko jest on sprofanowany kolejkami, ale i te, mieszcząc się w pewnych ograniczonych ośrodkach, giną wobec nietkniętych obszarów. Wiedzą zaiste ci praktyczni Szwajcarzy, że owe niepokalane szczyty są właśnie główną, szlachetną przynętą dla ruchu turystycznego. I tam, w te niebotyczne szczyty, uciekając od banalnego, hałaśliwego świata, idą różni alpiniści po skalach, śniegach i lodach, otoczeni jakby światem z bajki, zwalczając różne przeciwności zawsze w podniosłym nastroju, w ciszy, skupieniu i zapatrzeniu.

Tatry nasze są niższe, są też niewielkie. Niema w nich nadbudowy szczytów z wiecznym śniegiem i lodowcami. Cały ich urokześrodkowuje się w skalnych, poszarpanych turniach i szczytach. Jeśli więc na jakikolwiek ich szczyt założymy kolejkę — wprowadzimy w ich serce ten jarmark ludzki ze wszystkiemi jego następstwami. I z tego właśnie projektodawcy kolejki niedość sobie zdają sprawę.

Jeśli dla Tatr Polskich chcemy szukać analogicznego Alpom przedgórza, będą niem właśnie wyniosłości Gubałówki lub Bukowiny. I zupełnie niesłusznie został wzgardliwie potraktowany projekt kolejki na Gubałówkę, który zawiera w sobie olbrzymie realne wartości dla popularnego ruchu turystycznego, a nawet i narciarskiego. Gubałówka jest terenem wymarzonym, podobnie jak szczyty widokowe z kolejkami w Szwajcarji. Jest ona w pewnej odległości od Tatr, więc widok z niej jest bardzo rozległy i choć nie obejmuje całego wnętrza Tatr, zato rozpościera się i na Tatry zachodnie. A panorama na grupę Czerwonych Wierchów, zwykle przysłonięta, jest wprost alpejska. Szczególnie zaś, gdy z grzbietu Gubałówki skierujemy się ku północy w stronę Zubsuchego lub ku mało znanej wyniosłości Gawranówki, rozwija się przed nami i panorama wgłąb na dalsze wschodnie Tatry. A gdy śniegi przyprószą szczyty na jesieni, powstają Tatry w bieli jak jakieś śniczne góry ponad intensywną jeszcze zielenią regli, lub też złocącą się już czerwienią liści.

Gubałówka ze swem monotonnem podejściem jest za mało znana ogółowi gości zakopiańskich i gdy kolejka ją spopularyzuje, oraz jej liczne spacery grzbietowe, dopiero wtedy ujawnią się w pełni jej wszystkie zalety. Obawa mgieł, przysłaniających widoki, nie jest większa niż gdzieindziej w Tatrach. Często mgły tak nisko osiadają, że tam już mamy słońce; kiedyindziej przecież i wyższe szczyty toną w chmurach i mgłach, bo czyste niebo znajduje się dopiero jeszcze wyżej, np. na wysokości 3000 m. Wtedy i wjazd na Kasprowy niby nie pomógł. Przeciwnie, tam częściej, nawet w dnie pogodne, szczyt może być otulony mgłą lokalną.

Również i zjazdy narciarskie nie są do pogardzenia. Mamy całe obszerne i urozmaicone stoki ku dolinie Czarnego Dunajca, gdzie z Podczerwonego, Czarnego Dunajca, Starego Bystrego już koleją można wracać na Nowy Targ do Zakopanego. Mogą być też zjazdy krótsze na szpital miejski i Poronin lub na Szaflary i Biały Dunajec.

Tu też, na Gubałówce, na przedgórzu Tatr, nie raziłyby udogodnienia na wzór szwajcarski. I hotel z restauracją i place tenisowe i plaże słoneczne, a zimą ślizgawka, tory saneczkowe, hockey i różne inne przyjemności, będące atrakcją dla publiczności, a stanowiące wielką korzyść materjalną dla Zakopanego.

Przed laty, przebywając w Szwajcarji, nieraz wieczorem, przejeżdżając statkiem po Lemanie wzdłuż wybrzeży Montreux-Vevey i widząc piętrzące się nad niemi wzgórza, roziskrzone i rozmigotane jarzącemi się światłami lamp łukowych oraz licznych will i hoteli, wyobrażałem sobie i u nas podobnie zabudowane, wznoszące się ponad równią zakopiańską zbocza Gubałówki; z kolejką linową na grzbiet i poprzecinane wzdłuż i wszerz



Część wschodnia panoramy z Gubałówki od Kasprowego po Hawrań i Murań. Fot. Zwoliński

serpentynami dróg, po których mknęłyby tramwaje elektryczne.

Obecnie, wobec dalszego szybkiego rozwoju Zakopanego jako miasta, staje się sprawą naglącą pomyśleć o wyzyskaniu tak idealnych warunków klimatycznych, jakie znajdujemy na słonecznych stokach Gubałówki i objąć planem budowę kolejki, doskonałych dróg na modłę zagraniczną i—co za tem idzie — stylowych domków i hoteli, które, rozmieszczone w otoczeniu lasów (chrońmy je od wycięcia) i z widokiem na góry, dawałyby wraz z komfortem najlepsze warunki dla wypoczynku coraz liczniej zjeżdżającym się gościom.

I nietylko Gubałówka mogłaby być tą ponętną ostoją zdrowotno-wypoczynkową, lecz i całe pasmo wzgórz, okalających Zakopane w szerszym zasięgu, a ciągnących się ponad Poroninem wzdłuż Galicowej Grapy, Dziadkówki, Bukowiny, Palczykowego Wierchu, Cyrhli i Porońca. A jaką atrakcją byłaby przejażdżka łączącym te grzbiety tramwajem elektrycznym w obliczu jedynej w swym rodzaju rozwijającej się szeroko panoramy na cały łańcuch Tatr i o ileż rozleglejszej od widoku z Kasprowego! Korzyść, płynąca z udostępnienia dla ogółu tych wzgórz, i połączone z tem zyski duchowe i materjalne przewyższałyby wielokrotnie te efemeryczne korzyści dla narciarstwa, jakie dałby wyciąg linowy na Kasprowy.

I stąd, zdala, głosy rozgwaru ludzkiego nie zakłócą ciszy Tatr.

Gdy przed laty zrodził się projekt kolejki na Świnicę, zabrał głos w tej sprawie w wiecznie pięknem swem dziele *Na przełęczy* Stanisław Witkiewicz, ten wielki miłośnik i piewca Tatr, krzewiciel sztuki i etyki w naszem społeczeństwie, podczas wojny ostatniej entuzjastyczny wielbiciel Legjonów i ich Twórcy, niezłomny szermierz o prawdę i piękno w sztuce i w życiu. Słowa jego i dziś mają to samo znaczenie co dawniej, bo mimo zmian, jakie zaszły, wartości duchowe pozostały te same.

„W gospodarstwie społecznem Tatry miały znaczenie jako olbrzymie źródło wrażeń świeżych przeciwstawiających się spowszechniałym wrażeniom, jakich ludzie doznają w zwykłych, pospolitych warunkach życia. Psychologja człowieka jest taka, że on działa i odpoczywa przez kolejne przeciwstawianie funkcyj sobie przeciwnych. Znużenie jednostronnością życia ustępuje pod wpływem absolutnej jego zmiany, pod wpływem wręcz przeciwnych działań i wrażeń. Tatry więc, dając człowiekowi, żyjącemu w warunkach normalnych nowoczesnej cywilizacji, żyjącemu jednostronnie, przy pracy, przeciążającej umysł, wyczerpującej system nerwowy, dając możność życia w warunkach wprost przeciwnych, pierwotnych, w których grę wchodzą pierwotne, zasadnicze siły ludzkiej natury, Tatry były potężnym środkiem skrzepienia żywotności, odprostowania dusz i ciał, zgiętych i zmiętych przez życie wyłącznie intelektualne lub utopione w bagnisku interesów".

„Franciszek Nowicki i Ks. Gadowski, rozwieszając swoją orlą perć po niedostępnych graniach, nie naruszają istotnego stosunku człowieka do Tatr. Czynią oni tyle tylko, ile wymaga konieczność, czynią to, co, wybierając dobre miejsce do skoku, czyni kozica, lub co czynił Sabała, który „po głupiemu nie stąpił". Te klamry i łańcuchy są tylko drobnemi ułatwieniami, za któremi ogląda się zawsze człowiek pnący się po krzesanicach lub chwiejących się nad przepaściami graniach, i idąc tą orlą percią, jest się zawsze na woli tych osobistych przymiotów i władz duszy, które stanowią psychologję dotychczasowego stosunku ludzi do Tatr".

„Inaczej będzie, kiedy do Tatr wjedzie się koleją i kiedy urzeczywistnią się wszystkie konsekwencje tego filisterskiego zbliżenia do czegoś, co dotąd stało harde, dumne, niedostępne, co się zdobywało trudem, wolą, męstwem i poświęceniem... Najmniejszy nawet ogródek, wciśnięty między mury kamienic, ma pewien urok i piękno, jak mają swój urok, piękno i znaczenie sady stare dokoła wiejskich dworów, plantacje w Krakowie, park Łazienkowski w Warszawie, ogród Saski i każdy inny park, czy ogród w mieście, lecz ich urok, znaczenie i pożytek są zupełnie inne, niż Tatr, Alp, Andów czy Himalajów".

„W gospodarstwie ludzkiem wartości są tak względne i zależne od tego, jakich braków są wypełnieniem, że i Park Tatrzański będzie miał swój urok, piękno i znaczenie, ale Tatr już nie będzie i żaden poeta nie będzie już wołał:

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

. . . .

„Nie stanie się to jednak prędko, Tatry będą się bronić całą mocą swojej pustynnej, surowej, nieugiętej natury i zanim ten robak kolejki stoczy ich czar, przejdą długie lata walk, trudów i zawodów, które mogą całkowicie odstraszyć ludzkie mrowie od wrogich dla tatrzańskiej pustyni zamysłów".

F. RABOWSKI

WSPÓŁPRACA POLSKI I BUŁGARJI



Warneńczyk (z Kron. Gwagnina)

Podwaliny pod tę współpracę kładli rycerze, mężowie stanu i poeci.

Krew Władysława, syna Jagiełły, wsiąkła w ziemię warneńską, by po wiekach plon wydać. Przetrwała w pieśni ludowej bułgarskiej [1] pamięć o polskim królu, który zginął w walce z Turkami. Nam tradycja przekazała moment dla polskiego pojęcia rycerskiego słowa ważki — że śmierć Warneńczyka była karą za złamanie przysięgi, z której zwolnić nawet papież nie mógł, lecz równocześnie i odkupieniem winy.

Przez wieki trwała Polska na szańcu obrończym chrześcijaństwa, wiedziały o tem ludy jęczące w niewoli muzułmańskiej.

Wiek XVIII i XIX przyniósł zasadnicze zmiany w stosunkach wzajemnych państw Europy. Akcja polska, mimo zniweczenia państwowego bytu, rozwija się po r. 1840 z dużą energją i planowością. Wiara w posłannictwo Słowian i w solidarność ludów w walce o wolność czyniły sprawę południowych Słowian bardzo bliską emigracji. Mickiewicz w prelekcjach wskazywał, że tam znajduje się kolebka słowiańskiej kultury i zaród jej rozwoju w przyszłości.

Stanowisko jednego odłamu emigracji zostało ujawnione w r. 1840 przez jej organ *Trzeci Maj*: „Wspierać stąd jej (t. j. słowiańszczyzny) usiłowanie, zasyłać przyjacielskie rady, nie spuszczając z oka naszej własnej sprawy, przestrzegać o niebezpieczeństwie, opowiadać jej niedolę, jej dzieje, jej przeszłość świetną, wywoływać przed sąd opinji publicznej tych, którzyby się ważyli krępować tak szczęśliwie rozpoczęte dzieło odrodzenia się duchowego, wykrywać zabójcze zamiary ciemięzców, spiknionych na uduszenie naszych wspólnych swobód, przestrzegać, aby część braci naszych z pod złego nieprzyjaciela nie przeszła pod gorszego jeszcze, (t. j. Rosję) — oto są powinności nasze, jako wygnańców politycznych, znajomość zaś słowiańszczyzny, t. j. języków słowiańskich jest dla nas Polaków nader ważna, przez wzgląd na nasz język, obczyzną zapstrzony".

Książę Czartoryski od chwili osiedlenia się w Paryżu otrzymywał z Bałkan szczegółowe relacje od Polaków przebywających na wschodzie i od znajomych dyplomatów z francuskich i angielskich placówek (m. in. od Colsona i Urquarta).

Imię księcia znane było zdawna dyplomatom. Wobec rządów, których członkowie minimalnie orjentowali się w stosunkach bałkańskich, Czartoryski słusznie uchodził za fachowca, posiadającego o wiele dokładniejsze wiadomości, niż je zawierały raporty z poselstw. Umiał je przy tem dostarczać przedstawicielom parlamentów i wywoływać kłopotliwe interpelacje, zatem liczono się z jego zdaniem i dzięki temu udawało mu się niejedną rzecz pomyślnie dla „wschodu" załatwić. Przy każdej też okazji stale i systematycznie ujawniał niebezpieczeństwo zagrażające Europie ze strony cara, odsłaniał nici intryg rosyjskiej dyplomacji, dążącej nieustannie do przyciągania ku sobie Słowian tureckich i siania niepokoju na Bałkanach.

Przybywający do Francji Słowianie znajdowali w Hotelu Lambert serdeczne przyjęcie, a nierzadko i poparcie na dworach europejskich dla swoich spraw, młodzież zaś pomoc w studjach i subsydja pieniężne. Imię ks. Czartoryskiego stawało się coraz bardziej znane i szanowane na Bałkanach.

Podczas gdy emisarjusze Towarzystwa Demokratycznego ruszyli budzić Słowian na południe od Karpat, ze strony Hotelu Lambert został wysłany w sierpniu 1841 jako agent do Stambułu Michał Czaykowski. Wprędce zorjentował się on w miejscowych warunkach, zyskał mir wśród Słowian, którzy często zaczęli odwiedzać lokal nieoficjalnego, ale ważną rolę odgrywającego w Turcji, poselstwa polskiego. Czaykowski caratowi przeciwstawiał „króla de facto" (monarchizm odpowiadał mentalności bałkańczyków), jako przewodnika i opiekuna całej słowiańszczyzny i starał się gruntować przekonanie, że tylko wolna Polska zapewni swobodny rozwój wszystkim narodom, a Rosja je pochłonie i unicestwi. Podporządkowując romantyczne idee polskiej racji stanu, dążył do nawiązania między Turkami i Słowianami dobrych stosunków i odsuwał myśl o szybkiem wyzwoleniu z pod jarzma tureckiego. Czaykowski, mając dobre i rozgałęzione stosunki z rządem tureckim, załatwiał w Stambule słowianom cały szereg spraw. Chwalili to sobie zwłaszcza Bułgarzy, którzy właściwie żadnych praw nie mieli, bo pokój z r. 1829 przyznał autonomję tylko Serbji, Multanom i Wołoszy.

Na rozkaz ks. Czartoryskiego Orpiszewski w Rzymie podsuwał myśl unji kościelnej i zużytkowania do służby duszpasterskiej na Bałkanach mnichów z skasowanych w Polsce kościołów, Czaykowski zaś starał się wyzwolić Bułgarów z pod wpływów rusofilskiego duchowieństwa greckiego, dążąc do wychowania popów w duchu narodowym, zakładając szkółkę w Filipopoli i pozyskując chętnych dla koncepcji kościoła narodowego, oderwanego od patrjarchatu bizantyjskiego.

Dyplomacja rosyjska, widząc szkodliwość tych prac dla siebie, kilkakrotnie żądała wydalenia Czaykowskiego z Turcji. Ten zbyt był do prac swych przywiązany, by je rzucić. Mając przykład Bema i innych poturczeńców, w r. 1850 przyjął islam. Słowian to do niego nie zraziło i gdy po wybuchu wojny wschodniej Sadyk-Czaykowski otrzymał firman na tworzenie 1-go pułku kozaków ottomańskich, obok Polaków i Kozaków zgłosili się do tej ochotniczej formacji i Słowianie, a najliczniej Bułgarzy. Pułk walczył na linji Dunaju, a po zdobyciu Bukaresztu Sadyk został wojennym gubernatorem miasta.

Wspólnie przelana krew najsilniej spaja ludzi i narody. Uwydatniło się to w przemówieniu p. min. Radewa, który, witając min. W. Jędrzejewicza, podkreślił znaczenie, jakie miał dla Bułgarów udział w formacji kozaków i akcja Czaykowskiego.

Widomym śladem pobytu formacji polsko-słowiańskiej w Turcji stał się pomnik wzniesiony na polu bitwy pod Warna, dla uprzytomnienia współczesnym czynu Jagiellończyka. Lecz musiał się komuś wydać niebezpiecznym, bo znikł po roku z powierzchni ziemi.

W r. 1909 kobieta Teodora Iljewa w nocy z pomocą kilku „małdżych" (poszukiwaczy skarbów) rozkopała grób, który tradycja wskazywała jako grobowiec znamienitego rycerza „Kara-Jahji". Bawiący wtedy w Sofji Jan Grzegorzewski przeprowadził badania przy pomocy członków T-wa archeologicznego w Warnie prof. Szkorpila i Dymitrowa. Kobieta mętnie się tłumaczyła, że miała widzenie, że święci jej kazali kopać w tym kurhanie; szło jej zapewne o rzekome skarby, albo o zysk z posiadania kości „świętego". Faktem było, że kości nie udało się odszukać, choć niewątpliwie zostały dobyte, i stwierdzono, że brakło właśnie czaszki. W miejscu, gdzie powinna się była znajdować, tkwił wbity głęboko milowy słup rzymski. Grzegorzewski zbadał źródła tureckie, m. in. jeden rękopis z r 1689, rapsody, pieśni, podania i doszedł do wniosku, że naruszono istotny grób Władysława Warneńczyka [2]. Mimo pewnych starań grób wskutek zatargu Słowian z Muzułmanami długi czas stał otworem. Dopiero odrodzone Polska i Bułgarja wzniosły mauzoleum.

Zbliżenie się Polski i Bułgarji odbyło się w ostatnich latach na drodze społecznej. W r. 1923 powstało T-wo Bułgarsko-Polskie w Warszawie i Polsko-Bułgarskie w Sofji, mające na celu współpracę kulturalną, wzajemne poznawanie się, wymianę wartości intelektualnych i artystycznych. Dzięki wysiłkom p. Grabowskiego, posła w Sofji, p. Dory Gabe-Penew, której imię dobrze jest znane w Polsce, prof. Słońskiego, dr. Gołąbka i in. przetłumaczono szereg dzieł polskich na bułgarski i bułgarskich na polski. Wydany w r. 1927 rocznik *Od Wisły do Maricy* zawiera obszerny dział informacyj o położeniu politycznem, gospodarczem, krajoznawczem Bułgarji, o jej literaturze i sztuce i o pracach T-wa.

Zarząd T-wa Bułgarsko-Polskiego w Warszawie organizował odczyty o Bułgarji, koncerty (Vladygierowa w Warszawie, prof. Turczyńskiego w Bułgarji), roztacza opiekę nad młodzieżą bułgarską, licznie przybywającą na studja głównie z dziedziny sztuk pięknych, medycyny, stomatologji i weterynarji. T-wo wypłaciło dotąd jako zapomogi dla tej młodzieży i za czesne 13000 zł. Gdy trzęsienie ziemi nawiedziło Bułgarję, komitet wyłoniony przez T-wo zebrał w Polsce 124,814 zł. i 5000 dol., za które został wysłany do Bułgarji pociąg sanitarny i wyposażony szpital w Czyrpanie, którego jedną z sal nazwano imieniem polskiem; w obecnych uroczystościach w Bułgarji T-wo wzięło wybitny udział.

Te społeczne poczynania zyskały teraz moc państwową przez ratyfikowanie, w ślad za dążeniami min. W. Jędrzejewicza, w ostatnich tygodniach konwencji o współpracy kulturalnej między Polską i Bułgarją. Nakłada to na państwo i społeczeństwo polskie tem większe obowiązki współdziałania i czynnego udziału w poznawaniu się wzajemnem, w wymianie naszych wartości kulturalnych i duchowych.

ZOFJA D. KAŃSKA

[1] Zbiór Bugiszicza *Narodne pjesme*, Zagrzeb 1878.

[2] *Grób Warneńczyka*. Kraków 1911.



E. WITTIG Pomnik Warneńczyka

ŚMIERĆ WSI

Późną nocą, miejską nocą
przyjechała do mnie kalina.
— Lasy wiatrem w myślach łopocą,
twa ojczyzna, zielona dziewczyno.

W śpiewie okna, dzwoniącego w takt wozów
tętniących burzą po bruku,
nie odnajdziesz rozwiązania losu,
nie przypomnisz wsi w kamiennym huku.

Ktoś cię pętlą asfaltową związał,
ktoś w więzieniu okiennem zamknął.
Tylko srebrem w śnie migoce San,
a nad rowem siostry twoje pachną.

A pod lasem w szczęściu księżycowem
matka twoja i pola i wieś
— gdyby można jakiemś strasznem słowem
poza miasto uciec gdzieś.

Ale trzeba, trzeba w złem mieście
nad ulicą zawieszona żyć
i błaganiem prosić ptaków:
— przynieście trochę srebra z rzeki mojej wsi,
trochę słońca stęsknionym oczom,
kilka leśnych liści złotych, złotych...

Już nie trzeba: miejską nocą
wieś zielona umarła z tęsknoty.

W mym pokoju, we mnie, w mem sercu
źle i głucho bez wsi oddechów.
— Ach, pojadę, pojadę w czerwcu
wieś odnaleźć w słonecznym uśmiechu.

HENRYK HUZIK

W Administracji są jeszcze do odebrania premje książkowe na sumę około 200 zł.

WP. Prenumeratorów, którzy opłacili całoroczną prenumeratę, prosimy o zgłaszanie zamówień na książki, podane w Nr. 11 (76) tygodnika *PION*.

SZTUKA I ANTENA

SŁOWO NA ANTENIE

Poniższy artykuł skreślił dla *Sztuki i Anteny* prof. F. K. Roedemeyer, lektor Uniwersytetu w Frankfurcie nad Menem, wybitny znawca dykcji, retoryki i słowa radjowego, autor cennych książek o chórach mówionych i o kulturze żywego słowa. *(Red.)*

Dokładne zbadanie i przedstawienie powyższego tematu zajęłoby wiele miejsca i byłoby prawie niemożliwe bez praktycznych przykładów nadawczo-słuchowych. Musimy się ograniczyć i dlatego możemy powiedzieć tylko kilka rzeczy zasadniczych. Wychodzimy z bazy doświadczeń: c o z żywego słowa nadawano i j a k nadawano. Z tych doświadczeń wyciągniemy wnioski dla istotnego ukształtowania żywego słowa radjowego w przyszłości.

Radjo różnych narodów ukazuje, jaką wagę wogóle przywiązują poszczególne kraje do swego mówionego języka. Ale to znaczy zarazem: rozwój kultury słowa w każdej radjofonji zależny jest w wysokim stopniu od poważania i kultu, jakiego doznaje mówiony język rodzimy w swoim własnym kraju. Gruntowne zbadanie tego zagadnienia będzie zadaniem niełatwem, ale ważnem i godnem trudu. Jest ono bowiem niemniej doniosłe dla własnego kraju, jak dla wzajemnych stosunków między narodami, dla wzajemnego prawdziwego zrozumienia.

Skoro mowa o z a p o w i e d z i, w i a d o m o ś c i i p r z e m ó w i e n i u, to w radjofonji ważne jest przedewszystkiem jedno: uzyskanie dobrej słyszalności. Chodzi tu więc o przesłanki z dziedziny radjotechniki i techniki wymowy. Indywidualne znamiona głosu (charakter, barwa, wyraz, sympatyczność) będą w przemówieniu odgrywały ważniejszą rolę, niż przy zapowiedzi i wiadomości.

Nadawanie m ó w i o n e g o w i e r s z a oraz s ł u c h o w i s k a pozostaje nadal rzeczą problematyczną. Największe problemy powstają przy słuchowisku. Ale i tak zwany r e p o r t a ż (transmisja z życia) czeka jeszcze na lepsze rozwiązanie. Należy wprawdzie unikać doszukiwania się niepotrzebnych zagadnień w wymienionych ostatnio typach audycyj, wtłaczania w nie zbytecznej problematyki; mimo to jednak wiele spraw pozostaje nierozwiązanych.

Żywe słowo posiada dwojaki rodzaj „emisji": emisję d u c h o w ą i emisję p r z e s t r z e n n ą. Według słów poety duch buduje sobie ciało, a nie odwrotnie. Ciało — w tym wypadku: studjo nadawcze, technika nadawcza, środki emisyjne — nie jest jeszcze dobrze i całkowicie urządzone dla ducha słowa i jego form. Przyczyną jest może i to, że technika (mówimy przecież o „stuleciu techniki") rozporządza dziś większą skalą możliwości, a i to także, iż radjotechnika nagle odsłoniła całkiem nowe środki dla przekazywania treści słownej.

We wszystkich radjofonjach okazało się to samo: że przyrządzenie, adaptacja do form „słuchowiska" jest rzeczą wątpliwą; że samo „nadawanie się" do radja jakiegoś utworu może być tylko paljatywem. Wszakże — w przeciwieństwie do filmu, z którego elementami jesteśmy już więcej oswojeni — utwory d l a r a d j a n a p i s a n e również zadowalają nas rzadko. Nie ma to nic wspólnego z czysto treściową wartością dzieła, treść pozostaje nietknięta. Dotyczy to wszakże f o r m y; bez jej doskonałości ostatecznie i treść, nadewszystko treść artystyczna, ostać się nie może.

Zbędną jest rzeczą rozpisywać się wciąż nanowo o „psychologicznych przesłankach" radja, o tem, co „nadaje się" do mikrofonu, a co jest „nieradjofoniczne", albo o tem, jak możnaby ludzi wykształcić dla radja i t. p. Oczywiście, są to rzeczy ważne, ale posuwające sprawę naprzód tylko wtedy, gdy stworzona jest dla takich rozważań istotna podstawa, a wraz z nią dane są zasadnicze przesłanki.

I tu wysuwa się coraz wyraźniej na pierwszy plan pewien postulat, który i mnie, po długich badaniach tych zjawisk i studjach z mymi studentami (na podstawie ćwiczeń praktycznych, nasłuchów, doświadczeń dźwiękowych i słuchowych) wydaje się niezmiernie pilny i doniosły: postulat mianowicie stwarzania p l a c ó w e k n a u k o w o - b a d a w c z y c h i i n s t r u k t y w n y c h, które skupią w celowej współpracy technika, mówcę, reżysera, architekta i poetę.

Współpraca rozciągać się winna na dziedziny następujące: p o z n a n i e duchowych i przestrzennych e l e m e n t ó w żywego słowa — i radjofoniczne u j a r z m i e n i e tych elementów. Odbywa się coprawda tu i ówdzie eksperymentalna praca tego rodzaju, lecz ma ona przeważnie charakter techniczny, w Niemczech naprzykład wzorowa praca ludzi nazwanych *Tonmeister*, których zdobycze idą przeważnie na dobro audycyj muzycznych.

Jakkolwiek pracujemy przy pomocy przestrzennych kulis akustycznych, choć posługujemy się „mixerem" dźwięku i słowa, muzycznem podmalowaniem i dźwiękowemi łącznikami, wskazówkami dla prelegentów i t. d.: póki pierwotna, zasadnicza treść słowa, jego wewnętrzne widzenie, póki wewnętrzne wahania i drgania słowa nie będą p o z n a n e, dopóty żywe słowo nie będzie mogło być w y z n a n e — dopóty pozostanie niewyzwolone. Choćby audycja była nie wiem jak „efektowna"!

Słowo Goethego o zasłonie, pokrywającej tajemnicę natury, możemy i tutaj zastosować, wołając do natury słowa:

Und was sie deinem Geist nicht offenbaren mag,
Das zwingst du ihr nicht ab mit Hebeln und mit Schrauben.

Znaczy to: nawet „dźwigniami" i „śrubami" radjotechniki nie da się „wymusić" tajemnicy żywego słowa, jego ducha (bo o to przecież chodzi). Może natomiast — i to jest decydujące — w zespole technicznych środków radjofonji powstać n o w a w i e d z a o s ł o w i e i j ę z y k u; słowo może z technicznych środków radja niejedno „wymusić". I to będzie dopiero ów „duch" (słowo), który zbuduje sobie ciało (radjotechnikę) — zbuduje, albo powiedzmy trzeźwo: zastosuje ją i wyzyska.

Oto kilka tylko wytycznych, które może byłyby zdolne zwrócić nasz wzrok na rzeczy istotne — przy tworzeniu laboratorjów i uczelni wiedzy radjowej.

FRYDERYK KAROL ROEDEMEYER

TRANSMISJE RADJOWE

Transmisja w inny sposób dociera do t. zw. „życia" niż reportaż. Ale obu formom komunikacji wspólna jest powściągliwość reportera: choć zadaniem jego jest wierność, a nawet bezlitosny kompromitacjonizm, nigdy nie powie wszystkiego, co zauważył. A to byłoby dopiero prawdziwe „fotografowanie" rzeczywistości. Staje tu na przeszkodzie szereg konwenansów. Naprzód więc reporter odrzuca wszystko, co mu się wydaje zbyt subjektywne. Oczywiście, zgóry pomijamy dwie trudności: że żadnym sposobem nie można opowiedzieć w s z y s t k i e g o, co się zauważyło, bo to byłoby nietylko nudne, ale nawet poprostu niemożliwe (choć są pisarze, którzy poddają się takiej manji dokładności, czyniąc z niej sobie zadanie artystyczne, ale i oni osiągają tylko przybliżenie, nigdy odpowiednik), — powtóre, że inaczej nastawia się uwaga człowieka, który ma ze swoich obserwacyj zdać sprawę, a inaczej człowieka, który obserwuje od niechcenia. Reporter czuje się instrumentem cudzej uwagi, włóczęga jest tylko sobą. Włóczęga wolny jest od wszelkich społecznych konwenansów. Poddaje się tylko tym, które przyjął dla współżycia z samym sobą, a często zdaża się, że nawet i te przełamuje lub modyfikuje. Na tem polega „wychowawcza" rola przygód. Naturalnie, możnaby kwestję postawić odrazu na ostrzu noża i zapytać, dlaczego reporter nie miałby zachowywać się raczej jak włóczęga, dlaczego miałby koniecznie przyjmować jakieś konwenanse, poza — oczywiście — konwenansami obyczajności?

Tak postawione pytanie może wywołać zastrzeżenia. Poco wnikać w duszę reportera, kiedy nie o nią chodzi w reportażu czy transmisji, tylko o przedmiot, o rzecz, o zdarzenie? Czemu nie mówić o różnych kategorjach zdarzeń i przedmiotów, godnych reportażu albo transmisji oraz o sposobach „przeniesienia" ich na fale eteru? Odpowiedź jest może trochę frapująca, ale niemniej prosta: ponieważ bez duszy reportera niema przedmiotu. Mówić o sposobie reportażu czy transmisji, choćby teoretycznie, to w rezultacie nic innego, jak szkicować s w o j ą wizję przedmiotów i zdarzeń, a więc tworzyć teorję reportażu i transmisji nieprzydatną dla nikogo innego. A jeżeli nawet ktoś zechce wziąć nasze wskazówki na serjo, niewielką z nich wyciągnie korzyść, może je tylko mechanicznie stosować albo niepotrzebnie się niemi krępować. A niema dla słuchacza nic przykrzejszego jak prelegent skrępowany, prelegent sztuczny. Pierwsze „życie", które tak chętnie podsłuchujemy przez głośnik, to fizjonomja duchowa prelegenta. Dopiero, kiedy nas prelegent przestaje interesować, t. zn. gdy rezygnujemy z patrzenia na przedmiot j e g o oczami, bo wydają nam się zamglone albo zgoła bielmem pokryte, — tęsknimy za „odgłosami natury", czekamy na przypadek, który odsłoni nam b e z p o ś r e d n i o zdarzenie lub przedmiot. Czasami zadowalamy się efektami nieprzewidzianemi lub marginesami. Tak było raz na jakiejś nudnej transmisji z pewnego obozu: najplastyczniejszy był przejeżdżający po nasypie, a potem przez most za zakrętem ginący pociąg. W ten to sposób słuchacz odszkodowuje się i n w a z j ą życia, gdy życie z a a r a n ż o w a n e go zawiodło.

Zasadniczo niema na świecie spraw nieciekawych. Potrzeba tylko ciekawego umysłu, by z byleczego wydobył piękno i mądrość. Jeżeli jednak chcemy z takiego ciekawego umysłu korzystać, musimy pozostawić mu bardzo wiele swobody. Bo inaczej będziemy skazani na to, że zostanie nam nad uchem nakręcona pozytywka konwenansów. Może to prawda, że są ludzie, którzy lubią dowiadywać się tego, co już wiedzą. Tłumaczę sobie to zjawisko jakimś intelektualnym *horror vacui*, który mija dopiero, gdy pacjent może się upewnić, że jest wszystko tak, jak być powinno, a to znaczy dla niego: jak to sobie zgóry wyobrażał. Myślę jednak, że ten typ nie jest tak liczny, by zasługiwał na szczególne względy, a już napewno nie przyjdzie nikomu do głowy czynić z niego ideał słuchacza czy wogóle konsumenta kultury. Konkludujemy więc: reporter powinien mieć jak najmniej otamowań konwencjonalnych, a jak największej indywidualności.

Taki postulat czyni z reportera nieomal poetę. Możnaby tu znowu zastrzec się, że są do pomyślenia sytuacje, w których indywidualność reportera może bardzo przeszkadzać słuchaczowi, np. przy transmisji zawodów sportowych. A przykład ten można też wyzyskać jako kontrargument przeciwko mojemu twierdzeniu, że bez duszy reportera niema przedmiotu, bo wszak reporterowi sportowemu wystarczą oczy, znajomość prawideł danej gry, znajomość nazwisk zawodników i umiejętność obrazowego opowiadania. Otóż, oczy należą niewątpliwie do *conditio sine qua non* wszelkiego reportażu, a dwa dalsze warunki to istotnie tylko konwenanse. Moment zaciekawienia tkwi tu w nieprzewidzianym wyniku. Ale trzeci warunek, plastyka przedstawienia rozwijającej się przed oczyma reportera akcji, dotyczy już zdolności artystycznych. A więc niema rady: nawet reporter sportowy musi być poetą. Teoretyk patetyczny wskazałby w tem miejscu na Homera jako na prawzór.

Zresztą transmisje sportowe stoją dziś na najwyższym poziomie. Więcej uwagi należy poświęcić innym rodzajom transmisyj, przedewszystkiem defiladom i obchodom a następnie obozom. Tu konwenans zalewa wszystko, pozostawiając tylko — najczęściej bardzo wąski — margines dla manifestacyj niefałszowanego „życia". Chodzi więc o to, żeby „życie" przesunąć bardziej w centrum pola widzenia. Założeniem transmisyj jest chęć zastąpienia słuchaczowi osobistego udziału w zdarzeniu. Słuchacz transmisji ma czuć się „świadkiem zdarzenia" (jest nawet uprzywilejowanym świadkiem, bo bywa lepiej poinformowany od zwykłego uczestnika). I znowu powracają wszystkie omówione już sprawy.

Co zauważyłby słuchacz, gdyby naprawdę był obecny przy zdarzeniu? Czy to samo, co znajdzie nazajutrz w sprawozdaniu prasowem? Chyba nie, bo na szczęście jeszcze nie jesteśmy tak zuniformowani umysłowo, by obserwować do tego stopnia konwencjonalnie. Także śpiewy i marsze prześlizgują się raczej po powierzchni naszego mózgu. A np. deszcz, jeden z najczęstszych choć i najbardziej mimowolnych rekwizytów naszych transmisyj, może zdarzeniu odebrać ton tryumfu, t. j. zamącić konwencjonalny jego obraz, ale tem żywiej zabarwić wrażenie widza. Nasi reporterzy traktują deszcz zawsze jak intruza i niezmordowanie usiłują frazesami n a p r a w i a ć zepsute przezeń wrażenie. Jest to najbardziej mechaniczna metoda. Oczywiście, trudno wymagać, żeby instytucja publiczna pozwalała swojemu reporterowi snuć smętne albo ironiczne refleksje na temat indywidualizmu przyrody, która nie lubi być tylko dekoracją. Ale czyż trzeba zaraz popadać w tę ostateczność? Przecież nagły deszcz w chwili uroczystej to właśnie przez swoją napastliwość moment bardzo ożywiający obraz zdarzenia. Słuchacza napewno zainteresuje, w jaki sposób uczestnicy albo publiczność nań reagują, jak duma nie pozwala ulegać szyderczym intencjom intruza i jakie formy przybierają manifestacje uczuciowe w zmienionych tak niespodziewanie warunkach. Jeżeli w tem będzie trochę humoru, cóż to szkodzi?

Prawdziwą zmorą transmisyj z uroczystości są długie wstępy i wtręty informacyjne, odczytywane z kartki. Taki tekst zwykle roi się od nadętych frazesów i tylko niecierpliwi słuchacza, który chce b r a ć u d z i a ł, a nie poddawać się sugestjom. Komu się zdaje, że takie rzeczy służą propagandzie, grubo się myli. Defilad także nie należy nigdy nadawać w całości, choćby się wydawały nie wiem jak doniosłe: w pamięci słuchacza z całej ich doniosłości pozostanie tylko nuda, a to chyba nie jest intencją organizatorów. Trudno zaś przypuszczać, żeby kto chciał nadużywać tak powszechnego środka komunikacji, jak radjo, do celów „zjednywania życzliwości" jakichś wpływowych sfer. Znaczyłoby to zakładać u tych sfer więcej próżności niż rozsądku.

Każdy przedmiot transmisji ma swój charakter, t. j. stanowi kompleks wiadomości i faktów jemu tylko właściwy. Zadaniem reportera jest zainteresować się kompleksem wiadomości (oczywiście przed transmisją) i — jeśli to możliwe — zaaranżować na czas transmisji najbardziej charakterystyczne fakty z kompleksu danego przedmiotu. Ideałem byłaby oczywiście transmisja m o n t o w a n a, na podobieństwo tygodników filmowych. Jak mówią, jest to dziś jeszcze niemożliwe. Technika ma tu wspaniałe zadania do rozwiązania: uczynić aparat *Stilla* narzędziem tak elastycznem, by można było zdejmować większą ilość fragmentów kilkoma mikrofonami, a potem wycinać z tego materjału szereg momentów najciekawszych, uzupełniając je ewentualnie w studjo intermezzami informacyjnemi reportera. Wtedy też dopiero osiągnie się naturalność wywiadów, aranżowanych dotychczas tak sztucznie np. w obozach albo przy pracach publicznych (*à propos*: co kogo obchodzą te wszystkie personalja kierowników, szefów, dyrektorów, majorów etc., które reporter uważa sobie za obowiązek wyrecytować przy takich okazjach?): będzie je można nagrać kilkakrotnie albo, co lepsze, w sposób podstępny, t. j. tak, by interviewowany nic o tem nie wiedział (mikrofon pod stołem albo w plecaku reportera lub też pozór, że to tylko próba i mikrofon jeszcze nie otwarty). Niektórzy reporterzy już prawdopodobnie stosują jakieś podstępy wobec rozmówców przygodnych albo też poprostu zarażają ich swobodą zachowania się wobec mikrofonu!

JAN ULATOWSKI

BIOGRAFJE

KAZIMIERZ DREWNOWSKI, KAZIMIERZ KLING, EUGENJUSZ KWIATKOWSKI, WACŁAW LEŚNIAŃSKI, JAN MODZELEWSKI, LECH SUCHOWIAK, WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI, LUDWIK WASILEWSKI: *Profesor Dr. Ignacy Mościcki. Życie i działalność na polu nauki i techniki.* Warszawa 1934. Nakładem Komitetu Uczczenia 30-lecia Pracy Naukowej Prof. Dr. Ignacego Mościckiego, Prezydenta Rzeczypospolitej.

Monografję powyższą zawdzięczamy bezpośrednio Komitetowi Uczczenia Trzydziestolecia Pracy Naukowej Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Na całość monografji składa się osiem artykułów, zamieszczonych z okazji jubileuszu w różnych czasopismach naukowych *(Roczniki Chemji, Przemysł Chemiczny, Przegląd Elektrotechniczny)*, a podających źródłowy opis życia i działalności naukowej prof. Ignacego Mościckiego.

Za wydanie zbioru tych artykułów w oddzielnej monografji należy się Komitetowi, organizującemu obchód jubileuszowy, pełne uznanie ze strony społeczeństwa polskiego. Dotąd bowiem istniała jedna tylko próba ujęcia w całość życia i działalności naukowej prof. Ignacego Mościckiego—monografja, opracowana przez H. Cepnika [1]. Jest to książeczka popularna, która ma za zadanie zaznajomić szeroki ogół z życiem i działalnością Prezydenta Mościckiego i zadanie to, przynajmniej w pewnej mierze, spełnia należycie.

Nowa monografja zbiorowa jest już pracą w całem znaczeniu tego słowa poważną.

Obraz twórczej działalności naukowej prof. Ignacego Mościckiego, opracowany źródłowo i wyczerpująco [2], w pewnej mierze dostępny jest jedynie dla fachowców. Ale całość książki zainteresuje z pewnością szeroki ogół—i nietylko zainteresuje.

Dzięki autorom artykułów, ludziom, którzy w ten czy w inny sposób z prof. Mościckim współpracowali, jawi się przed nami z całą wyrazistością sylwetka wybitnego uczonego i wynalazcy o światowej sławie. Kolejno przesuwają się przed nami poszczególne okresy jego życia i działalności: studja; prace naukowe i udział w ruchu niepodległościowym w okresie londyńskim; okres fryburski z wielkiemi jego zdobyczami naukowemi, w dziedzinie technologji nieorganicznej i elektrotechniki, a zwłaszcza w umiłowanej przez prof. Mościckiego dziedzinie wysokich napięć; powrót do kraju i praca na stanowisku profesora Politechniki we Lwowie; wysoce obywatelski stosunek do wszelkich poczynań z dziedziny przemysłu krajowego; zdobycze naukowe z dziedziny technologji przemysłu naftowego; praca na stworzonej placówce naukowo-badawczej „Metan" (obecny Instytut Badawczy Chemiczny); okres chorzowski i wreszcie okres pracy naukowej, przypadający na lata piastowania najwyższej godności w Państwie—oto obraz wielkiej i płodnej działalności naukowej, wyścigu pracy, podejmowanego „w imię Polski i dla Polski".

Z podkreślanego tu i ówdzie przez autorów stosunku do „szarych ludzi" i garści wspomnień wyłania się oblicze człowieka o niepospolitym charakterze i niezwykłej dobroci.

O wartości literackiej książki mówić trudno. Bezpretensjonalność stylu oraz brak patosu, tak właściwe myśleniu matematyczno-przyrodniczemu, czynią głęboką i poważną prawdę o Wielkim Człowieku tem bliższą.

Taka jest wartość tej książki.

[1] H. Cepnik: *Ignacy Mościcki Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.* Zarys życia i działalności. Wydanie I z r. 1930, opracowane wspólnie z K. Bukowskim, wydanie II, rozszerzone—1932.

[2] Fachowcy znajdą tutaj wspaniale przedstawione wszystkie zakresy pracy prof. Mościckiego, opisy instalacyj i aparatur, zaopatrzone bogato w rysunki. Nadto—wykaz prac, ogłoszonych drukiem przez prof. Mościckiego, oraz wykaz prac, odnoszących się do Jego twórczości.

JULJA BARTKIEWICZÓWNA

*

ROM LANDAU: *Paderewski.* Z angielskiego przełożył J. B. Rychliński. Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Nad postacią Ignacego Jana Paderewskiego unosi się aureola wielkości, promieniująca blaskiem niezwykłych wartości serca i umysłu. Nazwisko Paderewskiego nietylko utrwaliło się złotemi literami w kronikach wszechświatowego wirtuozostwa pianistycznego, ale wiąże się również z przełomowemi momentami w dziejach politycznych współczesnej Polski. Wszechstronność uzdolnień i zainteresowań genjalnego artysty znalazła wymowne określenie w słynnem powiedzeniu Saint-Saënsa, wielkiego kompozytora francuskiego: *C'est un génie, qui joue aussi du piano.* Zrozumiałe jest więc, dlaczego ta niezwykła postać inspiruje oddawna licznych pisarzy, obcych i polskich, którzy w szeregu artykułów, szkiców i studjów składają hołd wielkości Paderewskiego. Z prac w postaci książkowej, dotychczas opublikowanych, zasługują m. in. na uwagę: H. T. Fincka, E. A. Baughana (w jęz. angielskim), dr. Alfreda Nossiga (w jęz. niemieckim) i H. Opieńskiego (w jęz. polskim, wyd. w r. 1928). Prace te jednak nie rościły pretensyj do całkowitego wyczerpania tak zdumiewająco rozległego tematu, jakim jest życie i wielokierunkowa działalność Mistrza.

Rom Landau pokusił się właśnie o napisanie dzieła, któreby przekazało potomnym wszechstronnie nakreślony wizerunek Paderewskiego—wirtuoza, kompozytora, polityka, myśliciela, świetnego mówcy, wielkiego patrjoty, filantropa o sercu niezmiernie wrażliwem i czułem na ludzkie cierpienia i krzywdy moralne. Przedsięwzięcie skomplikowane, zważywszy ogrom materjału, zgromadzonego w ciągu dziesiątków lat przez bujny, obfity w przeżycia, heroiczne zmagania i oszołamiające triumfy żywot artysty. Tego rodzaju syntetyczna monografja samorzutnie wywołuje ze strony czytelników zasadnicze pytania: w jakim stopniu autor sprostał trudnym niewątpliwie zagadnieniom, jak się uporał z wielością faktów, jakie wyznaczył im w dziele proporcje?

Bezstronnie oceniając książkę Landaua, trzeba jej przyznać znaczne walory, nietylko pisarskie ale i merytoryczne. Dzieje fenomenalnej karjery artystycznej Paderewskiego przedstawione są sugestywnie, plastycznie; znajdujemy tu mnóstwo szczegółów, rzucających ciekawe światło zarówno na psychikę i umysłowość Mistrza, jak i na jego życie prywatne. W świetle jednak surowszych kryterjów wartości tej książki znacznie maleją. Pochodzi to stąd, iż szereg podstawowych kwestyj (że wymienimy analizę jaźni artystycznej Paderewskiego jako pianisty i kompozytora, bo na ten problem w danej chwili zwracamy główną uwagę) zdradza dotkliwe braki. Nie znaczy to, by Landau tym zagadnieniom nie udzielił gościny na łamach swej monografji; owszem, problem sztuki pianistycznej Paderewskiego, jej czaru, wyjątkowości, odrębnych nienaśladowanych „chwytów" interpretacyjnych, omawia autor nawet wcale obszernie. Zwłaszcza zagadnienie pedalizacji i w szerokiej mierze stosowane przez Mistrza *tempo rubato* naświetlone są wielu interesującemi uwagami. (Landau cytuje ciekawą opinję Fincka, amerykańskiego krytyka muzycznego, o pedalizacji Paderewskiego, opinję, którą godzi się tu powtórzyć: „Szybko raz po raz powtarzanem naciskaniem pedału potrafi nadać fortepianowi nowy rodzaj brzmienia, pochodzącego ze zmiany jakości tonu, powstałego już przed jego uderzeniem. Posiada tajemnicę wytwarzania efektów orkiestrowych zapomocą umiejętnego użycia pedału miast cieniowania od *forte* do *piana* zapomocą zmiany natężenia muskułów ręki").

Ale w podejściu do najbardziej istotnych zagadnień sztuki odtwórczej i twórczej Paderewskiego nie wyczuwa się należytego znawstwa, fachowości i pietyzmu. Co gorsza, autor, omawiając te kwestje, nie gardzi stylem reportażowym, stylem niepoważnym, wręcz lekceważącym osobowość tej miary, jaką reprezentuje genjalny polski wirtuoz. Oto co czytamy między innemi o metodach odtwórczych Paderewskiego (str. 71): „Gdyby mógł wzbogacić arsenał swych efektów muzycznych, używając, naprzykład, zębów do gry (sic!) lub palców u nóg (sic!!), niezawodnie chwyciłby się i tych ekstrawagancyj". Albo taki „kwiatek", jakże naiwnie wydedukowany: „(Paderewski)... zapragnął komponować, tworzyć cuda polskiej muzyki, stać się drugim Chopinem" (!). Prawdziwie niedźwiedzia przysługa oddana Mistrzowi!

Jeszcze gorzej jest z analizą kompozycyj Paderewskiego. Tej pozycji książka właściwie nie notuje, boć przecież lakoniczne wyszczególnienie samych opusów nie może być uważane za częściową nawet próbę rozbioru analitycznego. Brak takiej analizy pięknej i naprawdę wartościowej twórczości Paderewskiego odczuwa czytelnik w sposób wręcz przykry.

Niepoważnie charakteryzuje autor pracę uczniów Paderewskiego, którym poświęca conajwyżej uszczypliwe i bezprzedmiotowe uwagi. O wybitnym dziś pianiście Stanisławie Szpinalskim pisze Landau ni mniej ni więcej tylko tyle: „Znany był ze smakoszostwa i rozkosze podniebienia tyle dlań znaczyły, co postępy w muzyce". O innych uczniach (Brachockim, Dygacie) powiada autor, że Mistrz dopiekał im często bez miłosierdzia.

Niektóre zdarzenia i anegdoty, podane przez autora, wprowadzają czytelnika w przykre zakłopotanie. Co sądzić np. o odezwaniu się do Paderewskiego jednej z paryskich wielbicielek po recitalu Mistrza: „Mistrzu, to było wzniosłe, teraz kiedy pana słyszałam, może pan umrzeć" (str. 39).

Przekład naogół nieudolny i mało sumienny, a jako jeden z bardzo charakterystycznych dowodów może służyć dziwaczny fakt, iż tłumacz fragmenty słynnej mowy Paderewskiego z r. 1910 przełożył z języka angielskiego! Jak gdyby nie istniał oryginalny tekst polski! Korekta niedbała.

Podsumowując wartości monografji Landaua, należy zaznaczyć, iż jako książka o Paderewskim-artyście nie wnosi ona do istniejącej już w tym zakresie fachowej literatury rzeczy rewelacyjnych lub choćby nieznanych; natomiast rozdziały, poświęcone działalności politycznej Mistrza, zawierają niewątpliwie sporo materjału, pochodzącego ze źródeł mało dostępnych szerszemu ogółowi. Monografja napisana jest językiem obrazowym i potoczystym, ale w całości tej imponującej rozmiarami książki wyczuwa się rzecz niepokojącą: odnosi się mianowicie wrażenie, iż Landau, używając *con amore* modnego dziś stylu t. zw. powieści biograficznych, stylu beletrystyczno-reportażowego, tem samem nadwerężа istotę prawdy historycznej, wymowę faktów objektywnych. W każdym razie pewnikiem jest nie do obalenia, iż inaczej do faktów podchodzi monografista-historyk w ścisłem tego słowa znaczeniu, a inaczej literat, wciągający temat do swego indywidualnego warsztatu pisarskiego. Że Landau reprezentuje ten właśnie drugi typ pisarza — o tem wątpić niepodobna.

JAN PROSNAK

*

MARJAN PIECHAL: *Anioł i Jakób.* — Trzy dialogi o Adamie Skwarczyńskim. Warszawa 1935. Nakładem miesięcznika „Droga".

> „Każdy człowiek obowiązany jest w całem swem życiu tak działać, aby pracą jego naród się doskonalił. Duszę swą i charakter kształtuje, rozwija i bogaci, dążąc ku temu celowi".
>
> (Adam Skwarczyński, *Wskazania).*

Niespodziewana śmierć Adama Skwarczyńskiego boleśnie zaskoczyła tych wszystkich, którzy formowali pod jego opieką swoje *credo* ideowe. Ta śmierć odebrała młodemu pokoleniu wielkiego przewodnika i przyjaciela, którego długo jeszcze brakować nam będzie w wielu ciężkich momentach fermentów, rozterek i załamań.

To też dobrze się stało, że jeden z najbliższych zmarłemu przedstawicieli młodego pokolenia zdobył się na trudną i odważną pracę pokazania sylwetki duchowej Adama Skwarczyńskiego w tryptyku dialogowym, objętym wspólną nazwą *Anioł i Jakób.* W przedmowie do książki autor pisze: „Gdy w rozmowie czy piśmie miało się szczęście walczyć ze Skwarczyńskim, odnosiło się zawsze wrażenie, że się walczy w roli biblijnego Jakóba z Aniołem. Tak wysoki był nastrój tematu i argumentów, w które za sobą prowadził. Niechże teraz wywołany serdecznie z poza świata cień jego rozegra ostateczną już chyba walkę wręcz z Jakóbem, spragnionym świtu".

Ale *Anioł i Jakób* nie daje mimo zamierzeń autora rozstrzygających rozwiązań i ostatecznych argumentów. Ta walka, z którą spotykamy się na każdej stronie książki, jest chyba najpiękniejszą i najserdeczniejszą walką dwóch ludzi, dążących ku wspólnemu celowi, którzy różnią się tylko nawzajem temperamentem młodości. Młodości ducha Adama Skwarczyńskiego przeciwstawia Piechal fizyczną młodość swego organizmu i stąd właśnie wypływa cała różnica poglądów i metod realizacyjnych. Różnica ta jednak w książce Piechala jest nieuchwytna i niedostatecznie uwypuklona. W *Aniele i Jakóbie* uderza nas przedewszystkiem postawa autora wobec obserwowanych zjawisk. Ujmując książkę o Skwarczyńskim w ciężką i trudną formę dialogów, może należało wyraźniej nakreślić sobie zamierzoną drogę. Może należało albo pokazać prawdziwego Adama Skwarczyńskiego, który żył, myślał i działał w maleńkim pokoiku na Zamku Królewskim, albo dać wyraźny obraz walki ideowej dwóch dobrze uwypuklonych i zróżniczkowanych środowisk, dwóch światów rzeczywistości polskiej. W wypadku pierwszym winno się było cały wysiłek skierować na sylwetkę duchową Skwarczyńskiego i, opierając się na kontakcie osobistym i puściźnie pisarskiej zmarłego, podać syntetyczny przekrój jego myśli i poczynań. Wtedy poznalibyśmy z książki Piechala prawdziwego Anioła, wraz z jego idealnym światem dobrych i prawych ludzi. W wypadku drugim trzeba było walkę doprowadzić do końca, przeciwstawić sobie dwie zupełnie różne postawy ideowe, których starcie doprowadziłby mogło do wyczekiwanego przez autora świtu. Ale Piechal nie mógł się zdecydować. Niewątpliwy kult dla postaci Adama Skwarczyńskiego, niewątpliwe piętno, jakie pozostawił on na tych wszystkich, którzy mieli szczęście zetknąć się z nim bezpośrednio, a do których należy również i sam Piechal, nie pozwoliły autorowi *Anioła i Jakóba* na konieczny autentyzm, zatarło się w nim poniekąd poczucie odrębności myśli własnych od myśli ukochanego przewodnika.

Styl i język jest piękny. Wydanie staranne i bardzo estetyczne.

ALEKSANDER CZYŻEWSKI

*

KAROL SIDOR: *Andrej Hlinka 1864—1926.* Bratislava 1934.

W październiku 1919 roku na wieść o aresztowaniu przez Czechów ks. Hlinki, grono rużomberskiej młodzieży szkolnej urządziło protestacyjny strajk. Na ich czele stał uczeń VIII klasy rużomberskiego gimnazjum Karol Sidor. Ten Karol Sidor, dziś jeden z czołowych słowackich publicystów, redaktor *Slováka*, a od niedawna poseł do parlamentu, jest autorem pokaźnej, w zeszłym roku w Bratysławie wydanej książki *Andrej Hlinka 1864 — 1926.*

Niełatwem zadaniem jest pisać żywoty wybitnych mężów. A do nich bezsprzecznie należy ksiądz Andrzej Hlinka. Urodzony w roku 1864 w słowackiej wiosce Czernova koło Rużomberku, nie miał bynajmniej żywota usłanego różami. Od zarania działalności narodowej młodego kleryka w lewockiem seminarjum, aż po obecną działalność w charakterze wodza Słowackiego Stronnictwa Ludowego, całe życie Hlinki jest jednem pasmem pracy i wysiłku poniesionego dla dobra swego narodu, dla jego podźwignięcia i wywalczenia mu lepszego jutra. A te wysiłki niemało kosztowały go cierpienia i udręki. Prześladowany przez kościelne władze węgierskie, więziony w Rużomberku i w Szegedynie, doczekał się w końcu tej chwili, gdy Słowacja wolna była od obcej przemocy. Aliści nie był to bynajmniej koniec jego walki. Za obronę swego narodu przed forum mocarstw w Wersalu uwięziony został zkolei przez Czechów i w czeskiem więzieniu spędził znów parę miesięcy. I to go nie złamało — ani na chwilę nie zaprzestał tej walki o prawa dla swego narodu, walki, którą toczy po dziś dzień.

Książka o Hlince jest siłą faktu książką o rozwoju politycznym Słowacji ostatnich lat czterdziestu, tak ciąży na nich wybitna indywidualność wielkiego działacza. Niesposób odłączyć jego żywota od rozgrywających się na Słowacji wydarzeń — jego życie i życie jego narodu splotły się w jeden nierozerwalny węzeł. Stąd specjalne trudności dla biografa.

Ze swego trudnego zadania redaktor *Slováka* wyszedł obronną ręką. Może zbyt schematycznem wyda się komuś zestawienie faktów i wydarzeń, może nieraz zbyt znać polemiczną swadę świetnego słowackiego publicysty, może komuś wydać się, że zbyt silny jest wpływ niedawno zaszłych wydarzeń tak jeszcze świeżych. Ale może to właśnie daje książce Sidora piętno pewnej żywotności i bezpośredniości.

Najsilniej wypadły w książce opisy więzienia Hlinki w Rużomberku i Szegedynie w latach 1906 i 1908, jego podróży, w przebraniu, przez Polskę do Paryża w r. 1919, i jego powrotu, w październikowy ranek przez most na Dunaju, na Słowacje. Sporo ustępów w książce Sidora nie doszło do rąk czytelnika — miejsce ich zajmują białe plamy — owoce działalności czeskiej cenzury. Te białe plamy to memento, że ta walka, którą prowadził Hlinka, a która jest główną osnową książki Sidora, bynajmniej nie jest zakończona.

J. R.

ED-ED: *Hitler.* Przełożył Andrzej Magórski. Instytut Wydawniczy „Renaissance". Warszawa—Poznań—Kraków—Lwów.

Niewielka, o 160 stronach, książka, ilustrowana fotografjami, na zewnątrz prezentuje się postacią *Reichsfuehrera*, w pozycji pozdrawiającej, na tle barw narodowych niemieckich. W małej tylko części stanowi utwór oryginalny anonimowego autora. Anonimowość najzupełniej zrozumiała, gdyż autor ma wyraźną sympatję do niemieckiej socjal-demokracji i postać Hitlera stara się oświetlić niekorzystnie.

Głównej i bodaj najcenniejszej treści dostarczają tej pracy wypisy z głośnego dzieła Hitlera p. t. *Mein Kampf*, wielkiego tomu o 800 stronach, napisanego po nieudanym monachijskim zamachu z r. 1923, gdy Hitler osadzony został w twierdzy Landsbergu. Po rozdziałach wstępnych, poświęconych biografji Hitlera i formowaniu się jego ideologji, podaje autor *in extenso* zasadniczy program partji ujęty w 25 punktach. Dalej rozwija barwny, sarkastyczny, pióra historyka Heidena, obraz wspomnianego zamachu z r. 1923. Potem połowę książki wypełnia ekspozycją podstawowych poglądów niemieckiego wodza w tekstach *Mojej walki.* W rozdziałach końcowych stara się scharakteryzować krytycznie politykę Hitlera po objęciu przezeń władzy w Niemczech, a zatem w pierwszych miesiącach r. 1933. Efekt krytyczny usiłuje autor osiągnąć, zestawiając tę politykę z obszernemi znów wyjątkami z książki prezydenta banku rzeszy Schachta o gospodarczem porozumieniu Niemiec, rzekomo z polityką tą rozbieżnemi.

Aczkolwiek wypisy z prac Heidena, Hitlera i Schachta zdaje się autor dobierać w celu przedstawienia hitleryzmu w świetle ujemnem, to jednak wynik osiąga odmienny, raczej dla Hitlera dodatni. Operetkowy nieco zamach monachijski raczej zajmuje i bawi, niż wywołuje lekceważenie. Wyjątki z *Mojej walki* dla czytelnika, nie mogącego studjować rozwlekłego oryginału, są informacyjnie wartościowe. Sformułowane jędrnie i wyraziście, uderzają przesadną jednostronnością głównie w sprawie żydowskiej i symplifikują zagadnienie rasy. Ale pozatem wyrażają również pewne poglądy i dążenia z dużą siłą przekonywającą zdrowego rozsądku, lub trafnej, przenikliwej obserwacji. Dodatni charakter posiada zwłaszcza zbyt skrajnie co prawda rozwijana przez Hitlera teza *mens sana in corpore sano.* Zwracają uwagę dość liczne wyrażenia, zdające się świadczyć, iż Hitler hołduje teizmowi, że więc bierze na serjo punkt programu o „pozytywnem chrześcijaństwie".

Nowszej, praktyczno-politycznej ewolucji hitleryzmu w okresie piastowania przezeń władzy książka nie obejmuje. Ustępy z Schachta w części końcowej interesująco przedstawiają niemiecki pogląd na gospodarcze przesilenie międzynarodowe, ale oświetlają je w sposób politycznie subjektywny.

Najsłabsze jest w książce to, co autor napisał sam. Głębszego wyjaśnienia hitleryzmu jako dziejowego zjawiska nie daje, powierzchowne w tym kierunku usiłowania są chybione. Autor stara się obniżyć postać Hitlera, wynosząc Lenina, Stalina i Mussoliniego, podnosząc zasługi dla Niemiec Stresemanna. W krytyce najmocniej wypadła nagana polityki przeciwżydowskiej hitleryzmu, wykazująca jej szkodliwość dla Niemiec. Naogół krytyka ta nie przeciwważy dodatnich stron hitlerowskiej ideologji, ujawnionych w cytatach z *Mein Kampf.* Niekiedy sprawia nawet wrażenie pewnego niedołęstwa i niewystarczającej kompetencji. Dochodzi przytem do paradoksalnego wniosku, że w walce Niemiec ze światowem żydostwem silniejsze okaże się żydostwo; oraz że panowanie hitleryzmu w Niemczech musi doprowadzić do nowej wojny, powszechnej ruiny, rewolucji i tryumfu bolszewizmu.

ST. SZ.

*

EINHARD: *Życie Karola Wielkiego.* Z oryg. łacińskiego przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Jan Parandowski. Warszawa. Państw. Wydawnictwo Książek Szkolnych.

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych ukazało się w polskim przekładzie Jana Parandowskiego dzieło pisarza z przed jedenastu wieków: *Vita Caroli Magni* Einharda. Jest to jedno z tak nielicznych, a przeto drogocennych źródeł historjograficznych dla poznania postaci wielkiego króla Franków i dziejów jego panowania. Jednocześnie *Żywot* Einhardowy rzuca wiele światła na sporną sprawę „renesansu karolińskiego", na ciekawy okres pierwszego odrodzenia antyku w zamierzchłych jeszcze początkach średniowiecza.

W dobie mody na biografje sławnych ludzi, ta książeczka—*vie romancée* z IX wieku—będzie prawdopodobnie czytana z zajęciem. Pożyteczną prawdziwie stanie się przedewszystkiem dla uczniów, którzy znajdą w niej piękną ilustrację do wykładu historji średniowiecznej. Dzieło Einharda jako źródło historyczne ma tę wielką zaletę, że jest n a o g ó ł wiarygodne, zwłaszcza jeżeli chodzi o portret Karola jako człowieka prywatnego, w życiu codziennem. To, co nam pisze Einhard o jego wyglądzie i charakterze, obyczajach, pracy i zabawach, o najbliższej rodzinie, ma w tej pracy największą wartość i słusznie powiada w przedmowie tłumacz, że „bez Einharda Karol Wielki, przy całej swej doniosłości, byłby postacią raczej mglistą".

Z tem wszystkiem nie należy jednak znaczenia dzieła Einharda przeceniać; historyk podejść doń musi z nader precyzyjnym aparatem krytycznym, pamiętając, że ma do czynienia z panegirykiem, a nie z pracą naukową. Wbrew temu, co pisze Parandowski, Einhard nie należał za czasów Karola do pierwszych na dworze królewskim. Karjera jego, jak świadczy współczesny Ermoldus Nigell, zaczęła się dopiero około 813 roku, a więc na rok przed śmiercią cesarza; stanowisko swe zawdzięczał swemu pupilowi, Ludwikowi Pobożnemu. Przedtem nie piastował prawdopodobnie żadnego oficjalnego urzędu (pisze o tem L. Halphen w *Études critiques sur l'histoire de*

Charlemagne), nie przechowały się też wzmianki o powierzaniu mu jakichś ważnych czy szczególnie delikatnych misyj politycznych. Był przytem Einhard przedmiotem kpin, na dworze nazywano go dla małego wzrostu żartobliwie *Nardulus*. Wydaje się tedy, że nie mógł wiedzieć wiele prawdy o istocie spraw politycznych, o stosunkach z zagranicą, o wyprawach wojennych króla,—a to, co podaje, przyjmować trzeba z rezerwą.

Pozatem żywy i ciekawy opis Einharda grzeszy nieścisłościami nietylko chronologicznemi, ale i rzeczowemi. Jest to częściowo usprawiedliwione odstępem czasu między samemi wydarzeniami a powstaniem *Żywota*, napisanego prawdopodobnie po r. 830. Ale są i inne przyczyny. Dzieło Einharda jest wzorowane na *Vitae XII Caesarum* Swetonjusza, i to nietylko pod względem konstrukcji. Jest dużo zapożyczeń treściowych—potrosze mimowolnych, potrosze jednak umyślnych, które naśladowca stosuje dla świetniejszego wysławienia swego bohatera. Jak wykazał Manitius, Einhard czerpie ze Swetonjusza nawet wtedy, gdy opisuje wygląd zewnętrzny Karola.

Trzeba podnieść z uznaniem pracę tłumacza. Przekład jest ścisły, bezbłędny, a jednocześnie wyrażony piękną i swobodną polszczyzną. Zresztą pochwały dla Parandowskiego-stylisty są chyba zbyteczne. Natomiast zastrzeżenia mogą budzić niektóre przypisy tłumacza. Nie należy np. wyrażać się, że „Einhard jest Niemcem“, bo w początku IX wieku pojęcie Niemca nie istniało. Nieporozumieniem wydaje się też uwaga o używaniu podobizn cesarzy pogańskich, prześladowców chrześcijan, na pieczęciach *christianissimi regis*. Chodzi tu przecież jedynie o symbol, w tym wypadku o symbol władzy, który każda epoka wypełnia treścią, jaka jej odpowiada.

ANTONI SZYMANOWSKI

*

MIRKO JELUSICH: *Hannibal*. Roman. F. G. Speidelsche Verlagsbuchhandlung. Wien u. Leipzig.

Pisząc swego czasu (*Pion* nr. 33 z r. b.) o książce Mirka Jelusicha *Juljusz Cezar*, podkreślaliśmy jej zalety rzeczowe i literackie. Jelusich zdobył sobie szybko sławę jako autor biografij a raczej powieści historycznych. Sumiennie i umiejętnie korzystając ze źródeł, a zarazem wnosząc do tematów dawnych tchnienie wieków nowych, świeżość i swego rodzaju poezję — czyni przeszłość interesującą i bliską nam.

Ukazała się druga jego powieść oparta na tematach antycznych, poświęcona znów jednostce silnej i ciekawej psychologicznie, a mianowicie jednemu z największych wodzów starożytności: Hannibalowi. Książka ta dotychczas w przekładzie na język polski nie ukazała się, a zasługiwałaby na to. Przyczyna faktu, że powieść ta wzbudziła mniejsze zainteresowanie niż *Juljusz Cezar*, leży zapewne w tem, iż jest przeznaczona dla młodzieży. *Der Reihe Romane für junge Menschen erster Band*. Jednak — tak jak *Juljusza Cezara* można dawać do rąk starszej młodzieży—tak zapewne *Hannibal* znalazłby wielu czytelników wśród starszych, zarówno ze względu na interesujący temat jak i ze względu na walory literackie.

Jelusich przedstawia w omawianej książce obraz tragicznych zmagań się silnej jednostki z niemniej silnym narodem. Jelusich kreśli żywą sylwetkę wodza kartagińskiego z jego zaletami i wadami, o których mówi w swem dziele Liwjusz. Imponuje nam bohaterstwo, niezłomna siła woli Hannibala, jego nieugiętość, nieustępliwość wobec trudów żołnierki, sił przyrody, nieprzychylności losów, nawet — wobec nieżyczliwości własnych współobywateli; imponuje nam jego wierne i uparte trwanie przy idei, dyktowane przez bezinteresowną miłość ojczyzny. Widzimy Hannibala jako dziecko, w które zostaje zaszczepiona nienawiść do Rzymu, obserwujemy go jako młodzieńca, wyróżniającego się energją i zdolnościami strategicznemi, towarzyszymy mu w długiej, pełnej trudów kampanji, śledząc zawsze ten sam hart ducha i siłę woli w najcięższych, najtragiczniejszych momentach. Człowieka tego — obdarzonego niewątpliwie niezwykłemi zdolnościami a zarazem prześladowanego dziwnemi wyrokami losów — poznajemy z jego drogi, z jego słów i czynów.

Równocześnie możemy podziwiać wytrwałość i siłę narodu rzymskiego, który w najcięższych latach walk z Hannibalem nie ugiął się, ale wykazał cały swój hart i siłę żywotną, przetrzymując dzielnie szereg ciężkich prób; i tem właśnie niezachwianem stanowiskiem, pewnością siebie i wiarą w zwycięstwo osłabili Rzymianie wreszcie spokój Hannibala.

Do powieści, która jest raczej tragedją wielkiego ducha, wprowadza Jelusich moment sentymentalny, zastępując znanego nam z Liwjusza oddanego Hannibalowi niewolnika przez dziewczę apulijskie o ciemnych oczach. które dobrowolnie dzieli z wodzem dobre i złe chwile, nie opuszcza go nigdy, łączy się z nim w śmierci.

Autor posiada technikę pisarską, zdolności narracyjne, dramatyzuje umiejętnie sceny, uplastycznia je, co stanowi wielką zaletę książki; to też zasługuje ona na to, by ukazała się w przekładzie—byle dobrym i dotarła, zgodnie ze swem przeznaczeniem, do rąk młodzieży.

LID. WIN.

T E A T R

TEATR LETNI: *Szczęśliwy pech*, komedja w 3 aktach I. BERSTKA, muzyka R. Katschera, w opracowaniu M. Hemara, reżyserja i inscenizacja Węgierki.

Charakterystyczne jest, że nawet libretta operetek i wodewilów starają się dostosować do konjunktury i wybierają sobie za tło kontrasty społeczne. Szczęśliwy pechowiec to jest męska „mysz kościelna“ (tytuł komedyjki równocześnie granej w Teatrze Kameralnym), zapędzony urzędnik bankowy, a więc „szary człowiek“. W kilku odsłonach widzimy wnętrze banku, maszynistki, rachmistrzów, zahukanego kasjera, hukających szefów. To przecież dosyć poważne, nawet smutne — gdy np. kasjer musi się przed szefem tłumaczyć z tego, że żona powiła mu trojaczki — pachnie Marxem i rewolucją. Ale — nie wiem, czy autor libretta jest Wiedeńczykiem czy nie, ale tradycja librett austrowęgierskich jest w *Szczęśliwym pechu* widoczna: nic drażniącego, wszystko łagodzi sentymentalizm. Dla biedackiej publiczności jest ustępstwo: zredukowaniec jako bohater, a dla publiczności zamożnej ta pociecha, że ów bohater jednak chwilowo ulega czarowi córki bankiera, durzy się nietylko w niej, ale i w otaczającym ją przepychu, w marmurach, fotelach, dywanach, obrazach, że więc niema w nim jeszcze nic a nic „uświadomienia klasowego“.

Także Raimund i Nestroy wprowadzali do swoich sztuczek jako tło — kontrasty społeczne, ale wtedy, t. j. ongiś, przyjmowało się te stosunki jako dopust Boży, jako coś stałego; dziś pomimo wysiłków autora taka atmosfera nie sprzyja humorowi. Aby swego zredukowańca i jego ukochaną garderobianą ratować od grożącej nędzy, a wodewil od niepowodzenia, autor posługuje się starym trickiem, który już film (zachodnio-europejski) zastosował na dużą skalę: napięcie socjalne znosi się przez przypadek, przez wygraną losu, przez jakiś talent, przez sztukę, niech więc panowie z proletarjatu pocieszą się np. śpiewem, jak to się dzieje np. w sławnym filmie René Claire'a *Niech żyje wolność!* Urzędniczyna z wodewilu Berstka ma talent kompozytorski, na którym w końcu poznaje się jakiś bogaty Amerykanin. Wyjście—to to nie jest, ale *happy end* jest.

Interesuje mnie tutaj libretto jako pewien gatunek towaru literackiego. Jeżeli chodzi o ocenę recenzencką, niewiele jest do powiedzenia. Humor nieco naciągany, dowcipów lepszych niewiele. Ale te braki wypełnia reżyserja i gra. W miejsce humoru literackiego wstępuje humor, że tak powiem, akrobatyczny. Gonitwy na scenie, prężenia się, nachylania, uchylania, — wszystko to zrytmizowane, zautomatyzowane, roztańczone, w dobrym stylu operetkowe, to znaczy przesadne i popularne, wypadło świetnie. Daremne chwytanie czeku w środkowym akcie — chwyci, czy nie chwyci? — to swoisty pomysł wizualny, doskonale wyreżyserowany. P. Bodo jest w takiej grze mistrzem. Ale ze śpiewem było gorzej, bo też nie było co śpiewać, melodyjki były zaledwie nudne. Lepszą cząstkę muzyki otrzymała p. Romanówna i powiększyła jej efekt czarem swoim własnym. P. Pawłowski amant okazał się — jak często amanci—pysznym komikiem. Ale pyszni byli także pp. Buczyńska, Chmielewski, Sielański, Krzewiński. P. Leszczyńska wogóle wyższa ponad pochwały. Co tu dużo gadać, wykonanie dziesięć razy lepsze od sztuki.

Adaptator p. Hemar przerabiał i nadrabiał jak mógł swoją weną ubogi tekst i pomysłowość autora; szkoda, że sobie nie znalazł wdzięczniejszego materjału.

K. IRZYKOWSKI

Nowa książka o Z. S. R. R.

JANINA MIEDZIŃSKA: *Sowieckie państwo pracy*. Warszawa 1935. Bibljoteka Polska.

Inspektorka pracy, p. Miedzińska, odbyła w końcu ub. roku wycieczkę naukową z ramienia Instytutu Spraw Społecznych, w celu zapoznania się z metodami ochrony pracy, zastosowanemi w „państwie proletarjackiem“. Wynikami trzytygodniowych badań nad tą kwestją dzieli się z czytelnikami, zaznaczając już w przedmowie, że „zdobycze, jakie już dziś osiągnęło państwo sowieckie... krytycznie ocenią ci, którzy jadą do Sowietów przekonani, że w państwie robotniczem znajdą, jeśli jeszcze nie całkowitą realizację dążeń świata pracy, to w każdym razie politykę społeczną, która powinnaby mieć na celu jedynie dobro robotnika“.

Książka jest istotnie „krytyczna“, oparta na źródłowych danych i fachowych spostrzeżeniach specjalistki, badającej dobrze jej znaną dziedzinę polityki społecznej. Krytyczna—to znaczy ani potępiająca zgóry, w czambuł wszystko, ani entuzjazmująca się. Nie nastawiona uprzednio ani na entuzjazm ani na potępienie.

Ze znanych książek o Sowietach jest to jedyna w swoim rodzaju praca. O Rosji pisali literaci, feljetoniści, kalamburzyści: wogóle — ludzie Zachodu, nie znający Rosji zupełnie, a pewni, że kilkanaście dni wrażeń podróżnika-turysty, nie znającego języka, wodzonego i wożonego tam, dokąd ich prowadzić i wozić chciano, myszkującego wśród osiadłych cudzoziemców za informacjami — wystarczą do wydania sądu o olbrzymim, rozległym kraju niespodzianek i wszelakich możliwości. Nasza, jeszcze nieliczna, literatura o Rosji Sowieckiej jest lepsza od zachodniej, bo opiera się na spostrzeżeniach bądź długotrwałych (Otmar), bądź opartych na możności porównywania dwóch okresów — przed i po rewolucyjnego (Wańkowicz), bądź wreszcie na subtelności obserwacyjnej, połączonej z możliwością porozumiewania się i docierania do żywych źródeł (Słonimski).

I właściwie — my, Polacy, znający, bodaj ze świeżej tradycji, Rosję przedwojenną, psychikę rosyjską, literaturę, charakter i obyczajowość, — my jesteśmy predysponowani do tego, by Rosję zwiedzać, poznawać, opisywać, stwarzać o niej sądy. Ci egzotyczni goście, Francuzi, Anglicy, Amerykanie, z reguły nie umiejący poznawać krajów, narodów, ich umysłowości, charakteru i kultury na bliższym im Zachodzie, którzy wybierają się do państwa Sowietów, jak do Eskimosów, i błyskawicznie spostrzeżeniami ze swej gościny uzupełniają zgóry powzięte mniemania, z któremi wyruszyli w podróż, nie mają danych na to, by mogli znać Rosję dzisiejszą lepiej, niż znali wczorajszą, przedwojenną, a tej nie znali wcale.

Społecznicy, ekonomiści, oświatowcy, wychowawcy, naukowcy—oto ekipa, która powinnaby w pierwszym rzędzie zabierać głos, relacjonując swe podróże do Sowietów. Książka p. Miedzińskiej jest jednym z takich uprawnionych głosów.

Nie będę jej streszczał szczegółowo. Każdy powinien ją przeczytać. Dowie się z niej dwóch prawd: Że wiele zrobiono w dziedzinie ochrony dziecka, żołnierza, wychowania, krzewienia oświaty — i że wszystkie piękne instytucje, zasługujące na bardzo szczegółowe i dokładne badania, są jednak kroplą w rozległem morzu potrzeb pracowniczych. Po drugie — że człowiek pracy jest niedostatecznie chroniony, niejednokrotnie o wiele mniej niż w państwach o ustroju kapitalistycznym. Że stanowi on pokolenie, z którego dla dobra przyszłości wyciska się wszystkie soki, mając w pogotowiu wszelkie usprawiedliwienia, że to, co się chce wprowadzić dla zwiększenia wydajności ludzkiego wysiłku, „nie szkodzi“. Zupełnie taksamo, jak w państwach wytężonej kapitalistycznej produkcji. Tylko że tam, w Rosji, na pociechę, na przynętę dla pracownika, z troski o populację — ale się coś robi, opieka społeczna, nie rozrastając się dostatecznie wszerz, wyrasta wzwyż, doskonaląc i celowo zakładając swe instytucje. Gdzieindziej — drepce się w miejscu, a Międzynarodowa Konferencja Pracy pracuje, ale dla stratosfery.

Książka p. Miedzińskiej należy do rzędu tych, które, nie oślepiając błyskotliwością, w pełnem znaczeniu słowa „otwierają oczy“ na Rosję współczesną.

JAN DĄBROWSKI

Prosimy zainteresowanych WP. Prenumeratorów o opłacenie należności na III kwartał załączonym przekazem rozrachunkowym.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.